



DWUKROPEK:

MIESIĘCZNIK HISTORYCZNO-KULTURALNY

Międzynarodowy Dzień Astrologii

Kazimierz Pułaski: rycerz wolności

Karol Kurpiński: kompozytor z Włoszakowic

January Suchodolski: malarz w mundurze







REDAKCJA

Joanna Majksner-Pińska

tel. +27 21 424 7144

kom. +27 83 330 9661

e-mail: joanna@musiccape.co.za

www.dwukropek.org

SPONSORZY

J. M. Piński, MusicScape, Ambasada RP w Pretorii,
Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana
Olszewskiego, J. W. Przybyłowicz

INFORMACJI w sprawie rocznej prenumeraty,
pojedynczych egzemplarzy, archiwum
oraz ogłoszeń i reklam udziela redakcja „Dwukropka”



W numerze:



KALENDARIUM

Międzynarodowy Dzień Kobiet	str. 4
Dzień Liczby Pi	str. 26
Międzynarodowy Dzień Astrologii	str. 34

ROCZNICE

Kazimierz Pułaski	str. 8
Karol Kurpiński	str. 17
Januariusz Suchodolski	str. 21
Raul Koczalski	str. 25
Karol Olszewski	str. 28
Akademia Zamojska	str. 31

SPACERKIEM PO HISTORII

Żnin	str. 11
------	---------

KLUB BIBLIOFIŁA

Koegzystencja czy kooperacja?	str. 14
oraz	

GALERIA, KĄCIK LITERACKI, HUMOR, TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Projekt okładki: Marek Piński

WYDZIAŁ KONSULARNY AMBASADY RP W PRETORII

adres: 14 Amos Str., Colbyn,
PRETORIA 0083

telefony: +27 12 430 2631, + 27 12 430 2632

faks: +27 12 430 2608

e-mail: konsulat.pretoria@msz.gov.pl

www.gov.pl/web/rpa

*Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw
Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy
za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa
Rady Ministrów*

*Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/autorów
i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem
Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Fundacji Pomoc
Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego*

Redakcja zastrzega sobie prawo do selekcji, skracania i korekty nadsyłanych tekstów oraz nie ponosi odpowiedzialności
za prezentowane w nich poglądy.



Międzynarodowy Dzień Kobiet

Dzień Kobiet w Polsce i na świecie obchodzony jest na różne sposoby – w zgodzie ze zwyczajami danego kraju. Poznaj historię pięknego święta kobiecości, którego korzenie sięgają starożytnego Rzymu i dzielnej walki sufrażystek, a także międzynarodowe tradycje związane z datą 8 marca.

OD ANTYCZNYCH TRADYCJI DO SUFRAŻYSTEK

Choć pierwsze obchody Dnia Kobiet wiążą się z początkiem XX w., to korzenie tradycji związanych z tym świętem sięgają... czasów starożytnych. W antycznym Rzymie wraz z początkiem marca obchodzono bowiem Matronalia – uroczystości związane z powitaniem wiosny, kultem płodności oraz macierzyństwa. To szczególnie święto stawiało w centrum właśnie kobiety nierozdzielnie kojarzone ze wspomnianymi cechami. Z tej okazji mężczyźni wręczali swym żonom skromne upominki. One same również obdarowywały się prezentami w kobiecym gronie. Odwiedzały ponadto świątynie, w których modliły się o przychylność bogów oraz spokój i dobrobyt w rodzinnym ognisku.

Pierwsze obchody Dnia Kobiet związane są z tragicznym w skutkach protestem nowojorskich pracownic. 8 marca 1908 r. w jednej z fabryk w Nowym Jorku tłumiące od lat rozgoryczenie i poczucie niesprawiedli-

wości kobiety podniosły bunt, nie zamierzając dłużej godzić się na głodowe pensje, nieporównywalnie niższe od wynagrodzeń dla mężczyzn. Wyzysk siedł w niechlubnej parze z długoletnią historią umniejszającą roli kobiet w społeczeństwie i pozbawiającą je prawa do głosowania.

TRAGEDIA STRAJKUJĄCYCH PRACOWNIC Z 1908 R. INICJUJE ŚWIĘTO

Strajk nowojorskich pracownic został zapamiętany jako jeden z pierwszych przejawów walki o równouprawnienie, ale zakończyła go tragedia. Zdezorientowany właściciel fabryki nie wiedział, jak zareagować na niecodzienny protest. Nierozsądnie zamknął kobiety w hali produkcyjnej, po czym udał się na spotkanie z innymi przedsiębiorcami. Miał na nim szukać porady, co zrobić ze zbuntowanymi pracownicami. Niestety podczas nieobecności mężczyzny w fabryce wybuchł pożar, w którym zginęło 126 kobiet.

Oburzeni mieszkańcy Nowego Jorku wyszli na ulicę. Ramię w ramię domagali się praw wyborczych dla kobiet, a także polepszenia ich sytuacji na rynku pracy. Od tej pory obchodzony w marcu Międzynarodowy Dzień Kobiet stanowi wyraz pamięci o zmarłych sufrażyst-

kach i wszystkich pozostałych dzielnych kobietach, które odważyły się przeciwstawić patriarchalnemu układowi. Wkrótce po tych zdarzeniach krok za świętującą Dzień Kobiet Ameryką podążyły pozostałe kraje w tym Dania, Szwajcaria czy Niemcy. Oficjalnie święto ustanowiono w 1910 r. podczas Międzynarodowego Kongresu Kobiet Socjalistek w Kopenhadze.

DZIEŃ KOBIEŃ W POLSCE

Pierwszy Dzień Kobiet w Polsce przypadł na kolejną dekadę, a dokładniej 1924 r. Jednak to czasy powojenne spopularyzowały święto kobiet w naszym kraju. W gorzkich czasach PRL-u z okazji Dnia Kobiet wręczano pracownikom, żonom, matkom lub córkom symboliczne goździki oraz towary luksusowe, trudnodostępne jak rajstopy czy kawa. Komunistyczne władze wysługując się świętem, mamili kobiety i tuszowały szarą rzeczywistość w państwach bloku wschodniego.

Po 1989 r. Dzień Kobiet wciąż zajmuje ważne miejsce w kalendarzach Polaków. Większość z naszych rodaków odcina się jednak od socjalistycznej tradycji i zastępuje biało-czerwone goździki tulipanami czy różami wręczanymi ukochanym kobietom. Coraz częściej mężczyźni decydują się również na inne prezenty dla kobiet jak perfumy, biżuteria czy artykuły do pielęgnacji włosów i ciała.

W Polsce kobiece święto wciąż obchodzi się hucznie i radośnie, a sposób na uczczenie Dnia Kobiet zależy od indywidualnych preferencji zainteresowanej. Jedne z nas tego wyjątkowego dnia pragną spotkać się z przyjaciółkami na kawie lub wieczornej domówce, inne nie wyobrażają sobie obchodów bez drugiej połówki u boku, a pozostałe wolą celebrować kobiecość w samotności, decydując się przykładowo na domowe SPA.

DZIEŃ KOBIEŃ NA ŚWIECIE

Obecnie Dzień Kobiet obchodzi się w ok. 30 państwach. Tradycje związane ze świętem kobiecości różnią się nieco w zależności od kraju, choć w znakomitej większości łączy je obdarowywanie ważnych i bliskich sercu mężczyzn pań kwiatami, czekoladkami

oraz innymi podarunkami. Nie wszędzie obchodzi się je również tego samego dnia.

W Armenii uznaje się Miesiąc Kobiet, który trwa od 8 marca do 7 kwietnia, czyli Dnia Piękną i Macierzyństwa. Dłuższe świętowanie mają ponadto zapewnione Wietnamki, które Dzień Kobiet obchodzą dwa razy w roku – 8 marca i 20 października. W Wielkiej Brytanii kobiety świętują natomiast 10 kwietnia. Co ciekawe, na Wyspach nie ma zwyczaju wręczania prezentów kobietom. Stawia się natomiast na umacnianie ich pozycji w społeczeństwie i podkreśleniu roli kobiet poprzez wykłady, spotkania oraz wystawy poświęcone wybitnym przedstawicielkom płci żeńskiej.

Jeszcze inne „przywileje” z okazji Dnia Kobiet mają Chinki. Tam kobiety ustawowo pracują tylko pół dnia, spędzając czas wolny na przyjemnościach, odwiedzinach w restauracjach czy kinie. We Włoszech świętowanie rozpoczyna się już na tydzień przed 8 marca. Na ulicach pojawiają się wtedy plakaty oraz ulotki informujące o zbliżającym się święcie. Kobiety obdarowywane są gałązkami żółtej mimozy, a także włoskim specjałem cukierniczym – ciastem torta mimosa. Z kolei w Chile Dzień Kobiet daje możliwość nawiązania do korzeni i zaakcentowania postulatów mających na celu polepszenie sytuacji kobiet na świecie. 8 marca odbywają się tam manifestacje, w czasie których protestującym kobietom wtórują śpiewy i bębny.

Niezależnie od tła kulturowego i oficjalnej daty Dnia Kobiet pamiętajmy, że kobiecość zasługuje na celebrowanie każdego dnia w roku – nie tylko od święta. Wszystkim Czytelniczkom składamy serdeczne życzenia, posyłając Wam moc uśmiechów, miłości i pewności siebie!

Paula Apanowicz





Agnieszka Lipska: "W stylu retro"

Alicja Patey-Grabowska

PIEŚŃ O SZAMANCE

Odżegnywała szamanka
słowem
swoją twarz w lustrze
za czterdzieści lat

Mówiła: - A - kysz
w przyszłości się schowaj
w przyszłości jak mgła

I bała się
Bała
tego co to będzie
i jaka będzie
inna czy ta sama

Odżegnywała:
-A- kysz – mówiła
do tej z lustra
za czterdzieści lat

Stały obie
oko w oko
Stopiły źrenice
w jedną twarz

I nic się nie stało
Lustro nie pękło
choć upłynęło
czterdzieści lat

Krzysztof Saturnin Schreyer

ZACHÓD SŁOŃCA W USTCE

Morze – seledyn rozlany,
zachód słońca – złote rzeki
Zapach? – to krzewy różane.

Przy barierce Ona,
chłonna i skupiona
na chwilę przymyka powieki –
„Jak to zachować na płótnie”?

I opowiada smutnie
że zachód ten sam
lecz zawsze inny

Daj rękę
to jak obraz miłości
wciąż nowej tej samej
zmiennej

jak słońce w złotej koronie
w Bałtyku tonące
z ostrym horyzontu kręgiem
dalekim
czystym
niepokojącym...

Józef Zdunek

galeria obrazów to niezwykle
świat realiów i fantazji
można wejść nie tylko do środka galerii
można wejść także do środka obrazu
przemieszczać się w czasie i przestrzeni
żyć życiem tamtych lat
odległych albo bliskich
z dreszczykiem albo bez

i postuchać co mówią

Wiesław Janusz Mikułski

Czasem słowa
mają zapach mirry

spadają jak głazy
z gór

wiją się jak rzeki
pośród łona ziemi

są zbyt lekkie
bez prawdy i czynu...

Kazimierz Pułaski

280. rocznica urodzin

6 marca 1745 roku, w Warszawie urodził się gen. Kazimierz Pułaski, jeden z dowódców konfederacji barskiej, uczestnik walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

KONFEDERACJA BARSKA

Bohater narodu polskiego i amerykańskiego urodził się w 1745 roku jako syn Józefa Pułaskiego, starosty wareckiego. W wieku nastoletnim służył na dworze księcia Karola, władcy podległego Rzeczypospolitej Księstwa Kurlandii i Semigalii. W 1763 roku wziął po raz pierwszy udział w działaniach zbrojnych, bowiem Mitawa (ob. Jelgawa na Łotwie), stolica księstwa, była oblegana przez wojska rosyjskie.

Po tym wydarzeniu Kazimierz wrócił do kraju, by już w następnym roku wraz z ojcem i dwoma braćmi uczestniczyć w elekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. W kolejnych latach rodzina Pułaskich brała czynny udział w przygotowaniach do zbrojnego wystąpienia (konfederacji) skierowanego przeciw moskiewskim wpływom w Rzeczypospolitej i uległemu wobec carycy Katarzyny królowi.

Konfederacja barska zawiązana została 29 lutego 1768 roku w mieście Bar na dzisiejszej Ukrainie. Zdaniem historyka dra Jana Sałkowskiego działalność Pułaskiego w tym okresie należy oceniać przez program konfederacji, w której aktywnie uczestniczył od samego początku.



Pułaski w Barze, obraz pędzla Kornelego Szlegla



Pułaski początkowo zajmował się akcją werbunkową, a na czele swoich oddziałów stoczył kilka udanych potyczek z wojskami moskiewskimi. W wieku zaledwie 23 lat otrzymał stopień pułkownika.

OBROŃCA JASNEJ GÓRY I... KRÓLOBÓJCA

Kazimierz Pułaski okazał się jednym z najlepszych dowódców okresu konfederacji barskiej. Latem 1769 roku przeprowadził udaną kampanię na ziemiach litewskich, a następnie obrano go marszałkiem ziemi łomżyńskiej. Już wówczas cieszył się dużym uznaniem w kraju i za granicą, ale prawdziwą sławę przyniosła mu obrona Jasnej Góry. Na przełomie lat 1770/71 Pułaski przez dwa tygodnie skutecznie powstrzymywał szturm Moskali, których zmusił do porzucenia oblężenia wyjątkowego dla Polaków miejsca.

Uznanie, którym cieszył się w Europie dzielny wódz, prysnęło kilka miesięcy później. 30 listopada 1771 roku konfederaci zdecydowali się porwać Stanisława Poniatowskiego. Decyzja ta okazała się fatalna w skutkach. Cała akcja była przeprowadzona nieudolnie i ostatecznie królowi udało się przekonać porywaczy do puszczenia go wolno. Choć królowi nie stała się krzywda, nie zmieniło to faktu, że konfederaci barscy podnieśli rękę na swo-

jego władcę, co spotkało się z powszechną dezaprobatą europejskich dworów.

W całą sprawę, przynajmniej zdaniem samego poszkodowanego, zamieszany miał być także Kazimierz Pułaski. Pułkownik długo bronił się przed zarzutami o chęć zabójstwa monarchy, ale sąd sejmowy zaocznie skazał go na konfiskatę mienia i karę śmierci. Pułaski został zmuszony opuścić kraj bez grosza przy duszy i z mianem królobójcy.

OD TURCJI DO AMERYKI

Pułaski na emigracji spędził resztę życia. Tułaczy los zaprowadził go początkowo do Turcji, która prowadziła wojnę z Moskwą. Po krótkim epizodzie w tureckiej armii trafił do Francji, ale tam również nie odnalazł dla siebie miejsca. Hulaszczy tryb życia, do jakiego był przyzwyczajony polski szlachcic przy równoczesnych problemach finansowych wpędziły Pułaskiego w długi, które został zmuszony odpokutować w więzieniu w Marsylii.

Gdy pobyt we Francji stawał się dla pułkownika coraz bardziej uciążliwy, spotkał na swojej drodze Benjamina Franklina, amerykańskiego dyplomatę, który prowadził w Europie werbunek zdolnych wojskowych.

- Franklin oczarowany, jak sądzimy, osobowością i wolą walki Pułaskiego wysłał go do Ameryki z listem polecającym, w którym bardzo entuzjastycznie wyraża się o jego zdolnościach - mówiła w radiowej audycji z 1984 roku Anna Kornatek, w latach 1974-2004 dyrektor Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce.

Pułaski, który dotarł do wybrzeży Ameryki Północnej latem 1777 roku, od razu zgłosił się do amerykańskiej armii. Zbuntowane kolonie już od dwóch lat prowadziły wojnę o wyzwolenie się spod brytyjskiego panowania i chętnie przyjęły do go swoich szeregow. Wybitny polski dowódca był odpowiedzialny za tworzenie oddziałów kawalerii, które brały udział w walkach z Brytyjczykami o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Wpływ reformatorskich poczynił Kazimierza Pułaskiego był tak ogromny, że do dziś Polak nazywany jest "ojcem amerykańskiej kawalerii".

Pułaski od początku bardzo aktywnie włączył się w działania wojenne. Już we wrześniu 1777 roku, kilka dni po przegranej potyczce nad Brandywine, w której skutecznie ubezpieczał odwrót wojsk amerykańskich, mianowany został generałem dywizji. W marcu 1778 roku rozpoczął formowanie swojego legionu wchodzącego w skład amerykańskiej Armii Kontynentalnej.

Mimo problemów związanych z nieznaną języka, inną niż w Europie organizacją armii, słabo przeszkolonymi żołnierzami i przewagą Brytyjczyków Pułaski nie podupadł na duchu. Reformował kawalerię i na jej czele stawał do walki z nieprzyjacielem. Zginął na polu bitwy



Pomnik Kazimierza Pułaskiego w Savannah

11 października 1779 roku pod Savannah. Miał wówczas 34 lata.

RÓŻNE OBlicZA GENERAŁA

Kazimierz Pułaski nazywany jest bohaterem dwóch narodów, najwybitniejszym dowódcą konfederacji barskiej i ojcem amerykańskiej kawalerii.

- Nie ukończył żadnej szkoły wojskowej, a sztuki wojennej uczył się w walce. Nie można mu odmówić jednego: nadzwyczajnej intuicji i sprytu, które pozwalały mu uderzać na wroga w sposób nadzwyczajnie trafny, w odpowiednim momencie i miejscu - ocenił w radiowej audycji zdolności dowódcze Pułaskiego historyk dr Jan Sałkowski.

Pułaski był człowiekiem pełnym energii, który z godnym podziwu uporem realizował swoje zamierzenia. Jednocześnie przez trudny do opanowania temperament miewał problemy z dyscypliną.

- Podczas konfederacji barskiej Pułaski objawił się trochę jako watażka, jako człowiek, który nie bardzo potrafi utrzymać linię - stwierdził w audycji Polskiego Radia dr Jan Sałkowski.

W czasie walk z Moskalami Pułaski trafił do niewoli, z której został zwolniony po złożeniu przysięgi, że odstąpi od walki z Moskwą. Słowa nie dotrzymał. Zdaniem prof. Jerzego Skowronka

Pułaski łączył w sobie różne osobowości z odchodzącej w cień epoki sarmackiej i rodzącego się romantyzmu. Z jednej strony bronił wartości konserwatywnych i etyki szlacheckiej, z drugiej zachowywał się jak bohaterowie romantycznych dzieł.

- Złożył przysięgę, że nie będzie walczył, ale jednocześnie myślał tak, jak Mickiewicz, że nie ma reguły, której by nie można przekroczyć dla dobra wyzwolenia kraju - mówił historyk w radiowej audycji.

Kazimierz Pułaski darzony był sympatią przez pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Jerzego Waszyngtona, który zapoczątkował legendę polskiego generała w Ameryce.

- Waszyngton na wieść o śmierci Pułaskiego wyznaczył dla wart obozowych hasło "Pułaski", odzew "Poland" - mówiła w radiowej audycji Anna Kornatek.

Pułaski cieszy się za Oceanem dużą estymą. Jego imieniem nazywano miasta i ulice, postawiono mu pomniki i tablice pamiątkowe. W 1867 roku wizerunek polskiego generała został umieszczony w Kapitolu wśród bohaterów narodowych Stanów Zjednoczonych. Od 1936 roku odbywają się parady na jego cześć, a 11 października obchodzony jest jako Dzień Pamięci Generała Pułaskiego.

źródło: Polskie Radio



Pomnik Kazimierza Pułaskiego w parku przy muzeum Jego imienia w Warce – Winiarach



Kazimierz Pułaski pod Częstochową, obraz Józefa Chełmońskiego z 1875 roku



Żnin

Żnin to miasto w północnej Polsce, w województwie kujawsko-pomorskim. Położone w tak zwanych Pałukach w regionie kulturowym Wielkopolski jest siedzibą gminy wiejsko-miejskiej.

Lokalizujemy w 1284 roku Żnin był w XIII wieku miastem prywatnym, stanowił własność arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. W szesnastym stuleciu, miasto znajdowało się już w powiecie kcyńskim.

Jak czytamy w Encyklopedii PWN, pierwsi ludzie pojawili się w okolicach Żnina kilkanaście tysięcy lat temu, zaraz po ustąpieniu lądolodu skandynawskiego. Najstarsze ślady ludzkiego osadnictwa w tym miejscu pochodzą sprzed 10 tysięcy lat, czyli z okresu paleolitu. Dość liczne znaleziska archeologiczne świadczą o tym, że Żnin miał ogromne wręcz powiązania ze światem antycznym. Kontakty te umożliwiał miastu Szlak Bursztynowy, prowadzący tędy przez Śląsk, Kalisz aż do Morza Bałtyckiego.

Niedaleko Dużego Jeziora Żnińskiego, przy rzece Gąsawce zachowały się elementy wału osadniczego, będącego pozostałością średniowiecznego grodu, pamiętającego okres od VI do VIII wiek n.e.. Do rozwoju tutejszego osad-

nictwa, przyczyniło się przede wszystkim doskonałe położenie geograficzne i warunki topograficzne.

Na początku XI wieku ukształtował się tutaj nowy układ osady. Obejmował on trzy elementy: na półwyspie był „podstawowy gród” gdzie rezydowała władza i zarząd wojskowy tego miejsca, następnie było to „niższe podgrodzie” z ludnością rzemieślniczo-wojskową, a kolejnym elementem był targ na Ostrowie. Tutaj znajdowało się także miejsce kultu. Umieszczenie tu świątyni chrześcijańskiej, wiąże się z licznymi darowiznami na rzecz ówczesnego Kościoła.

W państwie Piastów wzrósł prestiż Żnina jako węzła komunikacyjnego. Ówczesna władza państwowa usadowiła się w żnińskim grodzie położonym wśród mokradeł, stanowiących obrzeża Dużego Jeziora. Żnin pełnił wtedy istotną funkcję militarną. Sprawował także kontrolę nad przeprawą handlową poprzez rzekę Gąsawkę. Żnin, jak mało które miasto polskie, w sposób doskonały blokował najeźdźcom dostanie się w głąb państwa. W grodzie tym rezy-

dowali tacy urzędnicy jak kasztelan, przedstawiciel władzy państwowej oraz naczelnik grodu. Fakt ten świadczy o istotnej funkcji administracyjnej Żnina.

W duwnastowiecznej Bulli Gnieźnieńskiej, wystawionej przez papieża Innocentego II w dniu 7 lipca 1136 roku, jest stary zapis o Żninie, który brzmi następująco „provincia de Znein cum foro”. Bulla ta potwierdza istnienie na ziemi żnińskiej słowiańskiej wspólnoty rodowo-terytorialnej z okresu plemiennego.

Według kronikarza Jana Długosza wojny, które prowadził władca Polski Bolesław Krzywousty, wymusiły potrzebę wybudowania w Żninie stosownej fortyfikacji będącej umocnieniem grodu i pod-

grodzia. Jan Długosz opisywał także lokowanie miasta przez arcybiskupa Janusza.

Na początku działań wojennych 1939-45, Żnin liczył dokładnie 5090 mieszkańców. Szybko został zajęty przez Niemców, którzy zmienili nazwę miasta na „Dietfurt”. Okupant wywioził ponad 600 osób do więzienia w Mińsku Mazowieckim i Nowym Targu. Część żninian trafiła do obozów koncentracyjnych lub została rozstrzelana w pobliskich lasach.

Niemcy spalili tutejszą synagogę, znajdującą się przy ulicy Pocztowej, rozebrali piękną kamienicę Państwa Smorowskich oraz zniszczyli bibliotekę gimnazjum.

Ewa Michałowska-Walkiewicz

Galeria



Fot. Aneja Łabuszko-Łabuszewska

Sławomir Maszewski

MŁODA KOBIETA

Nie jesteś już dziewczynką,
mimo wesołych iskerek w oczach,
Twoje spojrzenie jest skupione i królewskie,
a mroczne pragnienie wolności
wrywa się z Ciebie w gwałtownym pędzie,
którego nikt nie zdoła powstrzymać.

Nie jesteś muszelką,
bezzadnie wyrzuconą na nieznany brzeg,
dzisiaj, to Ty kierujesz falą,
z głębiąc życie
w gwałtownej żądzy wygranej.

Jak ćma namiętnie tęskniąc do płomienia,
polecisz wkrótce ku
budzącemu dreszcz spotkaniu
z bezkresną przestrzenią miłości.

Gustav Klimt: Portret kobiety



Andrzej Brochocki

EROTYK ZADUMANY

kobieta jest arcydziełem
z pagórków i dolin
przełęczy przyjaznych
himalajów piersi
ścieżek stromych co wiodą
ku nagłym przepaściom
tę z trawy aksamitnej
i z łez wodospadów
spływających łagodnie
ku ciemnym jaskiniom
- kobieta jest atlasem

rozkosznych zaskoczeń
użyć łaskawych
i kar zasłużonych
rąk prowadzących
do skarbów sezamu
zapachów orientalnych
co jak dym się snują
obietnicą nadzieją
nad tym arcydziełem

i tylko ta zagadka
która wciąż mnie męczy
jakim cudem do diabła
to jeszcze pamiętam

wrzesień 2023 r.

Koegzystencja czy kooperacja?

Maciej Pinkwart

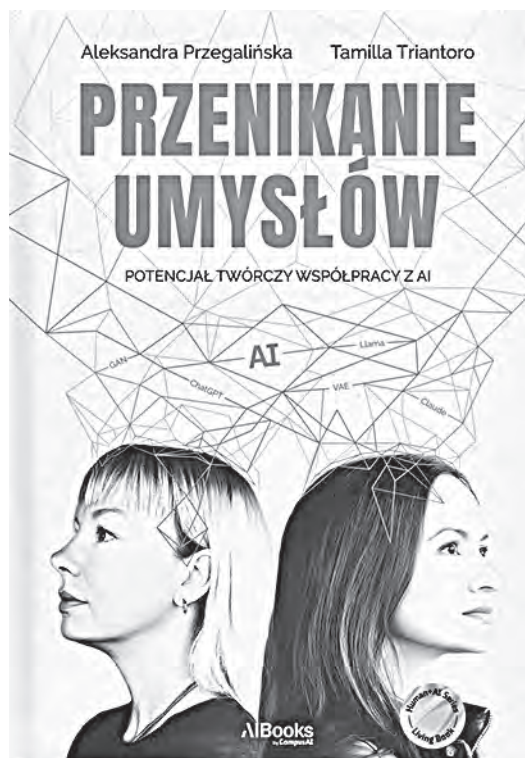
Książkę Aleksandry Przegalińskiej i Tamilli Triantoro *Przenikanie umysłów* (napisaną po angielsku jako *Converging Minds. The Creative Potential of Collaborative AI*) chciałbym omówić nie tylko z powodu treści, ale też ze względu na formę. I, oczywiście, dlatego, że kwestie rozwijającej się burzliwie sztucznej inteligencji już dziś dotyczą nas wszystkich. Także tych, którzy ze względu na tzw. wykluczenie cyfrowe, nigdy w życiu nie dotknęli komputera. Także tych, którzy posługując się komputerem, nie wiedzą jak on działa. Także tych, którzy wyciągając zimne piwo z lodówki, nie mają pojęcia nie tylko o tym, dlaczego w lodówce jest zimno, ale nawet o tym, jak wyprodukowany został napój, który właśnie nalewają do szklanki. A już na pewno – tak jak ja – nie wiedzą, w jaki sposób piwo znalazło się w puszcze, zostało tam zamknięte, a ten *dinks*, który właśnie z trudem podważamy paznokciem utrzymuje je w pozycji startowej. I wiecie co? Kompletnie mnie to nie obchodzi: póki sam nie zmienię zawodu i nie zajmę się piwowarstwem i produkcją lodówek, poprzestanę na korzystaniu z nich.

To samo mam z samochodem, którym jeżdżę. Telewizorem, który czasem dostarcza mi wiedzy i rozrywki, a czasem mnie ogłupia i dosmuca. Komputerem, na którym to piszę. Zegarkiem, który mi mówi, jakie mam ciśnienie i jaką temperaturę, a potem poleca, żebym wstał z krzesła i ruszył... się w podróż po pokoju. Ba! – z krzesłem, z którego mam wstać. Wiedza na ten temat jest dla większości z nas całkowicie zbędna: powinniśmy wiedzieć tylko tyle, jak to i owo ustawić, podłączyć i uruchomić. I korzystać z niego, w ogóle nie myśląc o technikaliach.

Jest jeden wyjątek: to telefon komórkowy, na który wciąż patrzę z nabożnym przestraszem. Co i raz zastanawiam się, jak to jest możliwe, żeby w przedmiocie wielkości mojej dłoni, ważącym 225 gramów, mieścił się komputer, liczne komunikatory, wiele godzin muzyki, filmy, aparat fotograficzny i kamera filmowa, kompas, wysokościomierz, krokomierz, czujnik zanieczyszczenia powietrza, telewizor, termometr, zegar, kalkulator, notes, edytor tekstu, portfel (z pieniędzmi), wielojęzyczny tłumacz, czytnik tekstu. I telefon.

I nie musimy kompletnie się znać na sztucznej inteligencji, żeby z niej korzystać. A już na pewno już korzystają z niej nasi lekarze, prawnicy, nauczyciele i... uczniowie.

Aleksandra Przegalińska, doktorat z filozofii, habilitacja z nauk o zarządzaniu i jakości, profesor Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie i prorektor tej uczelni, związana zawodowo także z Massachusetts Institute of Technology w Bostonie i Uniwersytetem Harvarda (ostatnio znana szerzej jako sympatyczna komentatorka w *Szkle*



Kontaktowym) oraz Tamilla Triantoro, doktorat na City University of New York w dziedzinie socjologii internetu, profesor na Uniwersytecie Quinnipiac w Hamden w stanie Connecticut są cenionymi autorkami fachowych publikacji na temat sztucznej inteligencji. Wiem, że to nic nadzwyczajnego – dziś o sztucznej inteligencji wypowiadają się wszyscy, także ci, co jeszcze nie spotkali się z własną inteligencją. Ale obie profesorki zajmują się czymś, co w tej dziedzinie jest może najważniejsze i najbardziej przyszłościowe: integracją między SI a inteligencją ludzką.

W toczonych od kilkunastu miesięcy dyskusjach na temat SI najbardziej szokuje nas to, że już niebawem owe tajemnicze „algorytmy”, na co dzień siedzące spokojnie w komputerach staną się mądrzejsze od nas, a chwilę potem wyrzucą nas z pracy, z samochodu, może nawet sprzed grilla z kiełbaską i piwem. W związku z tym niektórzy uważają, że trzeba zabronić rozwijania tej technologii i prowadzenia nad nią badań, w interesie przetrwania rodzaju ludzkiego.

To oczywiście jest szokujące, że możemy zlecić SI udawanie głosu i naśladowanie wizerunku Wisławy Szymborskiej, która w dodatku w wiele lat po śmierci wypowiada się na tematy współczesne. Ale czy w ogóle – kiedyś – naszych przodków nie

szokowało wszystko to, co nowe pojawiało się w ich życiu? Pierwszy ujarzmiony ogień? Pierwszy łuk? Pierwsza żarówka? Pierwsze kino braci Lumière, którzy wyświetlając 25 stycznia 1896 roku w Salonie Indyjskim przy bulwarze Kapucynów w Paryżu sfilmowany wjazd pociągu na stację w La Ciotat w Prowansji wywołali panikę ludzi, obawiających się rozjechania przez lokomotywę...

Do wszystkiego jednak się przyzwyczajamy. Ogień oswoiliśmy, nauczyliśmy się rozszczepiać jądra uranu, choć obie te sprawy – wraz z milionem innych – źle użyte mogą stworzyć ogromne zagrożenie nie tylko dla nieostroznego człowieka, ale i dla ludzkości. Mimo wszystko jednak tych spraw się nie wyrzekamy. Ja jestem tak stary (tak, tak, wiem – stary to jest Stary Testament...), że pamiętam, jak dostałem dwóję (jedynek jeszcze nie dawano) za to, że na polskim wypracowanie napisałem długopisem, którego nie wolno było używać, bo psuł charakter pisma. Zawsze używałem tego długopisu jako argumentu w kwestii mojego charakteru – przestałem dopiero, kiedy długopis zaczął być używany do psucia polskiego prawa. Potem pojawiły się pierwsze kalkulatory – ich też nie można było używać, bo zagrażały największej świętości szkolnej – tabliczce mnożenia. Wówczas największym dopuszczalnym urządzeniem technicznym był suwak logarytmiczny. Ale nawet jego nie można było mieć przy sobie na maturze, gdzie co najwyżej można było korzystać z tablic logarytmicznych. Ktoś jeszcze to ma w domu i korzysta?

A teraz mamy sztuczną inteligencję, która – i o tym jest ta książka – może, a w zasadzie powinna się stać kolejnym

przedłużeniem naszych, ludzkich działań: sprawność techniczna maszyny (czy będzie to antropoidalny robot, czy laptop, czy smartfon – wszystko jedno) w połączeniu z kreatywnością i fantazją człowieka mogą przynieść znakomite rezultaty w wielu dziedzinach: od logistyki magazynowej, przez archiwistykę, prawoznawstwo, medycynę, literaturoznawstwo, researching dziennikarski, bibliotekarstwo po twórczość pisarską, muzyczną i plastyczną. Jednym z zastrzeżeń, wysuwanych przeciwko wpuszczeniu SI na salony jest to, że jest to jakoby prosta droga do ubezwłasnowolnienia twórczego i do usankcjonowania plagiatów: kiedy zlecimy odpowiedniemu programowi napisanie eseju o zagrożeniu dla środowiska przez mikro-robiny plastiku, on po prostu błyskawicznie wyszuka w internecie wszystkie publikacje na temat tego zagadnienia, weźmie z niej to i owo i zaprezentuje jako swoje.

Fakt. A czy my, ludzie, pisząc taki esej, osobiście musimy prowadzić wszystkie badania w morzach i lasach oraz w wątrobie stryja z Niepołomic, żeby przedstawić ich wyniki w naszym tekście, czy też siedzimy w bibliotece (wirtualnej, oczywiście) i sięgamy do już istniejących publikacji na ten temat? Jeśli robi to człowiek, to doceniamy jego wiedzę i erudycję, a gdy robi to to coś w naszym komputerze, to jest plagiat?

Autorki punkt po punkcie pokazują jak tworzy się stosowne algorytmy działające w tej dziedzinie,



jak się trenuje sztuczną inteligencję, karmiąc ją niejako całym oceanem przykładów ludzkich dokonań w wielu dziedzinach i jakie może to mieć implikacje dla naszego przyszłego życia. Szalenie ciekawy jest wątek, dotyczący halucynacji, jak nazywa się błędy popełniane przez SI. Przyznam, że trochę jeży to włos na głowie, gdy pomyślimy o ewentualnych mylnych diagnozach lekarskich, niewłaściwych paragrafach kodeksowych czy pomyłkach w obliczeniach – dajmy na to – konstrukcyjnych. Ale czyż takie błędy nie zdarzają się nam, ludziom? Zapewne jest ich nawet więcej, niż zdarza się robotom. Z jednym zastrzeżeniem: my, nieszczęsne białkowe kleiki zawieszone na chybottliwych kościach, mamy coś, czym może nadmiernie często się posługujemy, ale co pozwala nam ustrzec się przed wieloma złymi decyzjami: intuicję. Ale i ona często prowadzi nas na manowce. My mamy też emocje, których u SI jak na razie nie stwierdzono, choć nie jest to do końca pewne.

Książka jest niebywale ciekawa, ale też niezwykle trudna w odbiorze. Profesorki bowiem posługują się językiem, a może nawet żargonem fachowym, co powoduje, że będąc już trochę obznajomiony z tematem, musiałem czytać niejedną rozdział przy pomocy... sztucznej inteligencji, podpowiadającej mi (o, paradoksie!) bardziej humanistyczne wyjaśnienia trudniejszych terminów: *VAE to klasa modeli generatywnych, które zyskały uwagę ze względu na swoje unikatowe podejście do kodowania i generowania danych. Opierając się na paradygmacie probabilistycznego modelowania graficznego, VAE czerpie z reprezentowania danych w przestrzeni ukrytej, co umożliwia zarówno zrozumienie struktury danych, jak i generowanie nowych próbek (Doersch, 2016).*

Dałem radę, ale nie usposobiło mnie to przychylnie do obranej formy narracji. Co więcej, zawsze w takich przypadkach, kiedy narrator – jak mi się wydaje – usiłuje podkreślić swoją fachowość wobec mnie, nieszczęsnego dyletanta, przypomina mi się wspaniały tekst Tuwima *Ślusarz*, o tym, że *droselklapa jest tandetnie zblindowana i rykzstosuje*.

I jeszcze o formie. Przewidując trudności, kupiłem książkę w pełnym pakiecie: to znaczy – pięknie wydaną papierową, w twardej oprawie (i z okropnie małą, bezszeryfową czcionką), e-book oraz audiobook, nagrany osobiście przez profesor Przegalińską. A może przez SI, udającą jej głos, nie wiem. Książka ma mnóstwo przypisów i odniesień do fachowej literatury, po każdym rozdziale jest ogromny spis bibliografii przedmiotu – i w audiobooku te rzeczy są, zupełnie słusznie, pominięte. W e-booku natomiast jest sporo wewnętrznych linków i QR-kodów – także do opisywanej sztucznej inteligencji, których kliknięcie przenosi nas w inny świat i jeszcze bardziej rozszerza możliwości

poznania. Co więcej – część tekstu powstała w oparciu o opracowania, dokonywane przez SI (głównie ChatGPT), a nawet przy jego pomocy: na przykład wywiad Tamilli z Aureliuszem Górskim, twórcą wirtualnego CampusuAI, czyli prowadzonej we współpracy ze sztuczną inteligencją wirtualnej platformy, pomagającej zainteresowanym wejść w świat współpracy z inteligentnymi algorytmami, został na podstawie nagrania na telefonicznym dyktafonie opracowany przez SI. Co więcej: książka, napisana w oryginale po angielsku, została na polski przetłumaczona przez ChatGPT-4.

Boicie się? Nie trzeba. Nie czeka nas żadna Lemowska *tragedia pralnicza*, w której inteligentne nadmiarowo pralki zawładną światem, tak samo jak nie zaważowały nas ani długopisy, ani elektroniczne kalkulatory. Oswoiłymi się z nimi i ufamy im, choć – przyznam się po cichu, że gdy dokonuję co miesiąc podsumowania moich wpływów i wydatków, zawsze, gdy jego wynik zaskakuje mnie in minus, uważam, że liczący to wszystko Excel się pomylił i sprawdzam ten bilans na piechotę. Oczywiście, nie liczę tego przy pomocy kartki, ołówka i własnych umiejętności matematycznych (spuszczam zero, dwa w rozumie), tylko sięgam po kalkulator. Niestety, zawsze się okazuje, że moje nadzieje na to, że wydałem mniej pieniędzy niż obliczył to Excel, były płonne i znów okazuje się, że w dziedzinie prywatnej księgowości maszyn mogą nas podliczyć, ale nie powstrzymają nas przed niecelowymi wydatkami.

Nie sądzę, żeby moi Czytelnicy od razu pobiegli do księgarń, lub do internetowej sprzedaży prowadzonej przez CampusAI, choć może się mylę. Książka o przenikaniu umysłów ludzkiego i maszynowego nie jest lekką i przyjemną lekturą na długie jesienne wieczory, ale być może warto ją mieć, bo odpowiada na mnóstwo ważnych pytań, ale też wiele problemów pozostawia bez rozwiązania w nadziei, że to my, partnerzy, kooperanci i współobywatele przyszłości zmierzmy się z nimi już niebawem.

Aleksandra Przegalińska, Tamilla Triantoro, *Przenikanie umysłów. Potencjał twórczy współpracy z AI*, Wydawca AI Books by CampusAI, Warszawa, październik 2024, 204 strony.



Ze smutkiem zawiadamiamy,
że 21 lutego 2025 zmarła

Barbara Lasek

Rodzinie Zmarłej wyrazy szczerzego
współczucia składa
Redakcja "Dwukropka"



Fot. Karol Grabowski

Foto. Karol 18

Karol Kurpiński

240. rocznica urodzin

Karol Kurpiński najbardziej został zapamiętany jako autor „Warszawianki”.

Często się zdarza, że postać wyróżniająca się w dziejach narodu w miarę upływu czasu staje się „własnością” ogółu i traci nawet symboliczną więź z macierzystym regionem. Zjawisko to dotyczy przede wszystkim osób, które urodziły się i działały w różnych zaborach. Taka sytuacja była zwłaszcza w Wielkopolsce, której wielu zasłużonych synów pracowało w centralnej Polsce. Dziś często zapominamy o tym, że np. Jan Kiliński, bracia Jan i Jędrzej Śniadeccy, Wojciech Bogusławski, Stanisław Staszic czy Karol Kurpiński byli rodowitymi Wielkopolanami. Warto zauważyć, że stali się znani i największe zasługi położyli poza tym regionem. Rzadko też wracali w rodzinne strony - i to nie tylko dlatego, że od 1815 roku Polska była podzielona pomiędzy trzech zaborców. Ale to już temat na osobne rozważania, wykraczający zakresem poza okres niewoli.

ZDOLNY SAMOUK

Karol Kurpiński urodził się w 1785 roku (znana jest tylko data jego chrztu: 6 marca), w Leszczyńskim, we Włoszakowicach. Po ojcu Marcinie, organiście z zawodu, odziedziczył uzdolnienia muzyczne i bardzo wcześnie ujawnił swój talent wirtuoza gry na organach i klawesynie. Z pewnością też duży wpływ na edukację chłopca mieli bracia matki, Roch i Jan Wańscy - skrzypkowie i kompozytorzy.

Młody Karol dość wcześnie był zawodowo związany z muzyką. W latach 1797-1800 pracował jako organista w Sarnowej, ale dzięki wpływom krewnych został zaangażowany jako drugi skrzypek i dyrygent w pałacowej orkiestrze starosty Feliksa Polanowskiego (wielbiciela twórczości Mozarta) w Moszkowie koło Lwowa. Tam z poparciem starosty podjął studia muzyczne i choć był samoukiem, z czasem zdobył znaczny zasób wiedzy i umiejętności zawodowych. Przez pewien czas był także nauczycielem gry na fortepianie na dworze baronostwa Rastawieckich, wreszcie w 1810 roku na stałe osiadł w Warszawie, gdzie 1 lipca został drugim kapelmistrzem (obok Józefa Elsnera) w teatrze Wojciecha Bogusławskiego.

WARSZAWSKA KARIERA

Odtąd rozpoczęła się szybka kariera Kurpińskiego. Zaczął być znany jako kompozytor, choć miejscowej publiczności zaimponował dopiero wtedy, gdy Fryderyk



August, król saski i wielki książę warszawski, po przedstawieniu opery „Pałac Lucyfera”, wyraził swój zachwyt nad dziełem 26-letniego artysty i wyróżnił go brylantowym pierścieniem. Sama opera z powodzeniem była później wystawiana w Dreźnie, gdzie utwór spotkał się z uznaniem znanego kompozytora Karola Marii von Webera.

Dodajmy, że od 1811 roku Karol Kurpiński należał do wolnomularstwa, do Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego.

Rok później kompozytor zadebiutował jako twórca nawiązujący swymi kompozycjami do bieżących wydarzeń, ważnych dla społeczeństwa polskiego: powstał wtedy „Marsz z roku 1812”, skomponowany na cześć Napoleona Bonaparte’go, do słów Juliana Ursyna Niemcewicza, a potem symfonia „Bitwa pod Mołajskiem”. Jednak okres największych sukcesów Karola Kurpińskiego łączył się z istnieniem Królestwa Kongresowego w latach 1815-1830.

PISAŁ, REDAGOWAŁ...

Był w pracy zdecydowany, wobec muzyków twardy, choć żadnej specjalistycznej szkoły w tym kierunku nie ukończył. Jednak doskonale znał swoje rzemiosło i wkrótce zyskał też sobie uznanie i autorytet. Z czasem nawet został dyrektorem opery w Teatrze Narodowym - w miejsce J. Elsnera, który nadal kierował Konserwatorium, szkołą muzyczną, z której wyrósł Fryderyk Chopin. Niezmordowany organizacyjnie i kompozy-

torsko, w maju 1819 roku Kurpiński odebrał medal wybity na jego cześć.



W 1815 roku został przyjęty do Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, od 1820 roku redagował „Tygodnik Muzyczny” - pierwsze pismo o tej tematyce na ziemiach polskich. Już po upadku powstania listopadowego, w 1835 roku założył Szkołę Śpiewu przy Teatrze Wielkim w Warszawie. Poruszenie wywołała też melodramatyczna „Elegia na śmierć Tadeusza Kościuszki” skomponowana w 1818 roku; znawcy muzyki widzą w niej inspirację do „Fantazji na tematy polskie” op. 14 Fryderyka Chopina. Rok wcześniej Kurpiński podjął pracę pedagogiczną w warszawskiej Szkole Muzyki i Sztuki Dramatycznej.

Kompozytor także dużo pisał. Był autorem podręcznika „Wykład systematyczny zasad muzyki na klawikord”, a także rozprawy historycznej „Wiadomości o kompozytorach polskich a szczególnie o muzyce dawnej i teraźniejszej w Krakowie”.

DLA CARA I POWSTAŃCÓW

W 1823 roku Kurpiński otrzymał dziewięciomiesięczne stypendium na podróż po Europie dla zapoznania się z aktualnymi tendencjami w muzyce operowej. Był w Dreźnie, Lipsku, Weimarze, Kassel, Paryżu, Mediolanie, Bolonii, we Florencji, w Rzymie, Neapolu, Wenecji i w Wiedniu. Poznał wtedy m.in. Luigiego Cherubiniego, Michała Kleofasa Ogińskiego, Louisa Spohra i Carla Marię von Webera. Pokłosem tej wyprawy był arcyciekawo, doskonały w treści i formie „Dziennik podróży” po Europie, wydany już w 1823 roku.

W latach 1830-1831 Kurpiński stał się ważnym patriotycznym kompozytorem powstania listopadowego. Napisał wtedy słynną, porywającą „Warszawiankę”, „Mazura Chłopskiego” i „Mazura obozowego”. W sumie był twórcą 24 oper, wodewilów i melodram, licznych pieśni, muzyki do „Śpiewów historycznych” Juliana Ursyna Niemcewicza. Najpopularniejsze stały się opery Kurpińskiego „Nowi Krakowiacy” („Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale” - rozwinięcie i przebudowa słynnej

sztuki Jana Stefaniego i Wojciecha Bogusławskiego, opera, która była wielkim sukcesem jej twórcy), „Zamek na Czorsztynie”, „Pałac Lucyfera”, „Dwie chatki”, „Jadwiga królowa Polski”. Rodzajem twórczości przez znawców muzyki zaliczany jest do późnego klasycyzmu.

Zasłynął jako twórca wspaniałych polonezów - wśród nich najsłynniejszego: „Witaj królu”, napisanego na cześć... cara Aleksandra I; od 1819 roku miał tytuł nadwornego kapelmistrza cesarza.

PÓŻNA DYMISJA

Wskutek intryg Tomasza Nideckiego - kolegi Chopina - i przypuszczalnie, choć nie jest to pewne, interwencji władz zaborczych, w 1841 roku Kurpiński został pozbawiony stanowiska (oficjalnie podał się do dymisji). Był to swoisty rewanż losu za, ogólnie mówiąc, zdecydowane działania artysty w obronie swoich interesów, zwłaszcza wobec J. Elsnera. Do dziś zresztą znawcy tematu i epoki zastanawiają się nad fenomenem pozostawienia Kurpińskiego, twórcy porywających utworów patriotycznych (zwłaszcza „Warszawianki”), na przedpowstańczym stanowisku po upadku powstania listopadowego, mimo masowych represji, którym poddano Królestwo Polskie i już wcześniejszych, nie najlepszych relacji



z generałem żandarmerii Królestwa Polskiego, Aleksandrem Rożnieckim. Ale... nie ulegajmy spiskowej teorii dziejów.

Zmarł w osamotnieniu, w Warszawie, 18 września 1857 roku, spoczął na cmentarzu Powązkowskim.

Był Karol Kurpiński kompozytorem dość kontrowersyjnym w ocenie muzykologów. W oczach Hanny Pomorskiej - utalentowany dyletant, według Jerzego Waldorffa - najwybitniejszy przed Chopinem symfonik polski, a w dziejach naszej muzyki w ogóle - twórca najwszechstronniejszy.

Cokolwiek byśmy o nim nie powiedzieli, był postacią o wielkim dorobku i talencie. Dziś, choć skomponowane przez niego dzieła są rozpoznawalne, to nie są kojarzone z ich autorem. Zapomina się zwłaszcza o Kurpińskim jako twórcy dzieł monumentalnych, wykonywanych przy uroczystych okazjach. Utwory te, pisane w epoce klasycyzmu, stylem zakorzenione są jeszcze w epoce stanisławowskiej i doskonale pasują do oświecenia. Polonezy Kurpińskiego, podobnie jak słynne „Andante i rondo alla polacca” Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego na flet i orkiestrę, stanowią świetną ilustrację dla obchodów kolejnych rocznic Konstytucji 3 Maja. Ale powstanie listopadowe już na zawsze utożsamiane jest z „Warszawianką”.

Marek Rezler



Pomnik Karola Kurpińskiego w Bydgoszczy

KĄCIK LITERACKI

Barbara Marek

NAD BRZEGIEM

Nad brzegiem (duszy) oceanu
siedzę wpatrzona w zagadkową dal
po powierzchni wody
z migotliwym błyskiem
biegnie szybki dreszcz
syrenim głosem wabi mnie głębina
kusi wyspą skarbów
szklanym miastem ze snu

nostalgia
nostalgia i wilgotna mgła
i płyną marzeń smutne karawele

Leokadia Komańszko

CUDA

Cuda się kształtowały
Gdy szeptałam z siostrą
O adoracji
administrującej światem

Belgia 2024



January Suchodolski 150. rocznica śmierci

Schorowany, w drugiej połowie żywota, ale wciąż czynny jako malarz, January Suchodolski (1797–1875) udzielał rad synowi, Zdzisławowi, który również kierował się na artystę, chcąc go uchronić przed ewidentnymi niebezpieczeństwami: ... *potrzeba, abyś się starał pracować ile możliwości stojąc, nie siedząc skurczony, jak to ja robię, mnie nikt nie przestrzegał i stąd największa przyczyna mojej choroby.* Chodziło głównie o rozmaite dolegliwości krążeniowe, w pewnym wieku lawinowo rujnujące organizm.

Gdy to pisał z Warszawy do syna, studenta pierwszego roku Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, był jednak jeszcze czynny, znany z niesłychanej płodności; kłopoty zaczęły się dopiero za dwa lata, w 1856, kiedy tuż przed oknami jego pracowni wybudują dwupiętrowy dom, *zasłaniający zupełnie światło.*

Dwa lata wcześniej zarówno Suchodolski junior, jak i jego najlepszy kolega ze studiów, Andrzej (Jędrzej Bronisław) Grabowski, późniejszy znakomity portrecista i brat Wojciecha, także malarza, tragicznego narzeczonego Anny Bilińskiej, wzięli sobie do serca również inne ostrzeżenia Januarego Suchodolskiego, tego niezrównanego w swoim czasie polskiego batalisty, nazywanego polskim Vernetem: *Co się tyczy oczów, nie rób nigdy takiego głupstwa, jak ja robiłem, i nie kopiuj słońca zachodzącego z natury.*

Oto jednak zębna dla wzroku i dla recepcji twórczości przez współczesnych mu krytyków pasja badawcza Januarego Suchodolskiego zaowocowała po niecałych dwóch stuleciach: artysta w ostatnim dziesięcioleciu życia i twórczości lekceważony w recenzjach wskutek nadużywania pomarańczowych i różowych refleksów w kompozycjach wielofiguralnych, owych bitwach, wjazdach i przejazdach konnych na tle pejzażu i weduty, w perspektywie powietrznej, dziś, po doświadczeniach impresjonizmu, ekspresjonizmu, wreszcie surrealizmu, jawi się jako oryginalny malarz, odważnie przełamujący konwencje. Powtórzę: nazywano go polskim Vernetem. I rzeczywiście, nieodrodny początkowo uczeń mistrza, Suchodolski niekiedy wręcz powtarzał motywy kompozycyjne francuskiego mistrza i pedagoga artystycznego Horacego Verneta. W czarno-białych reprodukcjach podobieństwo mogłoby wyglądać na uderzające. Tymczasem w kolorze... Ach! Dla Verneta, znakomitego rysownika, naturalisty przeciwstawiającego się klasycyzmowi, kolor nie był problemem, nie należał do zagadnień, które należało zgłębiać. Horacy Vernet stosował koloryt lokalny. W rezultacie jego kolosalne obrazy,



służąc narracji, niekoniecznie cieszyły oko. Suchodolski, jak się wydaje, zapragnął, jako następca, skorygować ten mankament. Niczego nie ogłaszał; manifestem miały być jego nowe obrazy.

Krytycy, oszołomieni obłokami rumianymi od refleksów zachodzącego słońca i ultramarynowym dymem z armat, ruszyli z kopyta z negatywną krytyką. Przyzwyczajeni do poważnych (czytaj szarobrudnych) tonów kolorystycznych w obrazach przedstawiających epizody z powstania listopadowego, czy dawniejsze, z czasów Potopu, nie szczędzili krzywdzących słów obrazom Suchodolskiego, dziś to widać, w pewnym stopniu prekursora malarstwa batalistycznego o rozjaśnionej gamie kolorystycznej, uprawianego później, w latach 30. XX w., przez *odnowione* dokonania postimpresjonistów Wojciecha Kossaka, kontynuowanego przez Jerzego ostatniego z dynastii osiadłej w Krakowie na „Kossakówce”.

Wracamy do Januarego Suchodolskiego. Twórca co najmniej czterystu obrazów olejnych, w tym kilkudziesięciu kolosalnych wymiarów, działał w czasie zaborów, a żeby móc działać, korzystał z dotacji i stypendiów rządowych, pochodzących z carskiego skarbcza. Z jednej strony w swojej warszawskiej pracowni, w domu, w którym piętro niżej mieścił się konsulat austriacki, malował kolejne epizody z wojny kaukaskiej na zamówienie cara Mikołaja I oraz ich repliki dla krwawego namiestnika Królestwa Polskiego Iwa-

na Paskiewicza, ponurego rusyfikatora, z drugiej – „Jadwigę po ślubie z Jagiełłą”, „Wjazd Jana III do Wiednia”, „Wjazd generała Jana Henryka Dąbrowskiego na czele Legionu do Rzymu”, „Atak szwadronu Koziatulskiego pod Somosierrą”, „Śmierć Cypriana Godebskiego w bitwie pod Raszynem”, oczywiście „Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem w nurtach Elstery”, oczywiście masę płócien ze Stefanem Czarnieckim w roli głównej, sceny Napoleonowskie, obowiązkowo Somosierrę, także z polskimi Legionistami pod San Domingo...

Jakim cudem godził...? O to trzeba by najpierw zapytać sławnego na cały świat Verneta, francuskiego artystę, który nie musiał, a przecież malował dla cara obrazy dworskie, portrety, sceny nie tylko z parad i z rosyjskich zwycięstw, lecz także – na specjalne życzenie Imperatora – kolosalne płótno przedstawiające inwalidę wojennego, byłego żołnierza Napoleona, który, bez nogi, stojąc oparty o kule w otoczeniu dwóch małych synów wręcza Napoleonowi petycję podczas parady na dziedzińcu pałacu Tuileries w Paryżu. Horace Vernet namalował ten obraz w roku 1838 na specjalne zamówienie cara, który kazał zawiesić płótno w miejscu, z którego codziennie będzie mógł dostawać przestrogę przed lekceważeniem przeciwnika. Więc temat, więc fabuła, anegdota, barwna narracja. To było najważniejsze – nie tylko dlatego, że jeszcze przez kilka lat nie upowszechniano fotografii.

Trzeba wziąć pod uwagę fakt, że car płacił świetnie... Wszyscy w kraju jakoś to rozumieli, szanowali wolność artysty, w tej wolności nie mogła się mieścić obłuda, nie mógł mieć miejsca cynizm. Czy tak? Trudno zapewnić. Lecz przecież polscy arystokracji zamawiali obrazy tego samego malarza, który malował dla ciemieńców. „Roman Sanguszko w bitwie z Tatarami”, olbrzymie przecież płótno Suchodolskiego, powstawało w roku 1843, w tym samym czasie, kiedy w pracowni na płótnie na dwa metry szerokim dosychała „Apoteoza Napoleona”. Nam się dziś nie bardzo mieści w głowie, że w tym samym czasie obok „Przeprawy wojsk cesarsko-rosyjskich przez rzekę Arcx” dla Paskiewicza namalował na zamówienie cara „Zwycięstwo wojsk rosyjskich pod komendą Paskiewicza nad Abbas-Mirzą pod Elizawetpołem” – o wymiarach, bagatela, 235 x 350 cm.

W roku 1838, a więc pięć lat wcześniej, Józef Ignacy Kraszewski, dwudziestosześcioletni wówczas dziennikarz, współpracownik „Tygodnika Petersburskiego”, wraz z Zofią, świeżo poślubioną bratanicą prymasa Woronicza, przekroczył progi pracowni wielkiego wówczas Januarego Suchodolskiego. Sam ziemianin z koneksjami (za wstawiennictwem ciotki, przełożonej wileńskich wizytek, u generał-gubernatora Kraszewski uniknął być może śmierci, a na pewno branki jako represji za udział w powstaniu listopadowym) nie mógł się nadziwić, że Suchodolski, syn skarbnego Wielkiego Księstwa Litewskie-



Ułani Księstwa Warszawskiego

go, nie straci na tytule artysty. Pisał, że od dawna pragnął poznać i artystę, razem półwojskowego, półmalarza, półszlachcica, który porzuciwszy to życie swojej braci-szlachty, próżniackie i niezapełnione,



Portret konny Paskiewicza

nie wahał się z swoim pięknym imieniem wziąć pędzel w ręce.

Kraszewski szukał swojego miejsca na świecie, Suchodolski już je znalazł. Kraszewski nie wspomniał, że Suchodolski jest kapitanem w stanie spoczynku, człowiekiem, którego sytuacja po upadku powstania listopadowego wyglądała jednak lepiej niż wielu represjonowanym, albowiem – uczestnik bitew pod Wawrem, Grochowem i Iganiami, został dymisjonowany i objęty amnestią. Bracia Januarego nie mieli tyle szczęścia, wręcz przeciwnie, ot, polskie dzieje. Jako były adiutant generała Krasieńskiego (ojca Zygmunta, wieszczka), lojalistę, który wyjechał do Petersburga, bez względu na różnice poglądów przyjaciela z kampanii Napoleońskiej na dobre i złe, poprosił o wstawienie do cara o nieliczne stypendium na kontynuację rozpoczętych w Paryżu u Verneta studiów malarskich. Uzyskał je, wraz z żoną i synkiem osiedlił się w Rzymie. I tak to się zaczęło. Artysta wobec światów równoległych: z tytułem członka Imperatorskiej Akademii Sztuk Pięknych wiązało się dlań przydzielenie apartamentów w gmachu Akademii w Petersburgu, a po obmalowaniu tysięcy metrów płócien na chwałę cara, wycofuje się do Warszawy, stamtąd odbywa podróże do najbardziej szacownych polskich arystokratów, pracując dla nich artystycznie. Jadwiga Łuszczewska – Deotyma, zanotowała: Januarego Suchodolskiego, równie dzielny żołnierz, jak malarz, równie nadobny, jak złośliwy.

Musiał się bronić. Znakomity i niezwykle płodny malarz uprawiał tematyczny płodozmian, ustąpił pierwszeństwa w sztuce genialnemu młodzieńcowi, Janowi Matejce, którego podziwiał. Po ponurych przejściach rodzinnych, rozedrgany, doznał bezwładu prawej ręki, taki stan trwał przez niemal dwa lata, kondycja fizyczna zespolona z mocnym charakterem pozwoliły mu odzyskać sprawność. I znów sprawy polskie: w roku 1863 syn, malarz religijny Zdzisław, za ukrywanie powstańców został zamknięty na rok śledztwa w więzieniu kryminalnym. Majątek zrujnowany. Ale nie skonfiskowany. Januarego Suchodolskiego pracował niemal do końca, do siedemdziesiątego ósmego roku życia. Został pochowany obok żony na cmentarzu w okolicach tego swojego majątku Boimie na Podlasiu, z letnią pracownią, nabytego w najlepszych swoich czasach, kiedy miał spokój do pracy i ani jedna strona, ani druga, nie widziała nic zdrożnego w tym, że obok obrazów dla imperatora i jego namiestników malował apoteozy, tryumfy i upadek Napoleona, a na świetnie skomponowanych, z ducha romantycznych płótnach zilustrował najjaśniejsze, najbardziej bohaterskie i mądre wydarzenia z historii Polski.

Marek Sołtysik



Berezyna



Śmierć Cypriana Godebskiego pod Raszynem



Widok na zamek w Radziejowicach



Fot. Jolanta Mesjasz-Przybyłowicz

Raul Koczalski

140. rocznica urodzin

Pianista, kompozytor i pedagog. Pseudonim Georg Armand. Urodzony 3 stycznia 1885 w Warszawie, zmarł 24 listopada 1948 w Poznaniu.

Pierwszych lekcji muzyki udzielała mu matka, następnie kształcił się pod kierunkiem Juliana Gadowskiego. Na estradzie zadebiutował w Warszawie 15 marca 1888 (zagrał utwory Franza Hüntena, Jeana Louisa Gobbaerts, Carla Marii von Webera i Mazurek B-dur op. 7 nr 1 Fryderyka Chopina). Sukces tego wydarzenia sprawił, że następne jego występy miały miejsce w Rydze, Petersburgu, Odessie i Paryżu. W dowód uznania dla młodego geniusza otrzymał tytuły nadwornego pianisty króla Hiszpanii, szacha perskiego oraz sułtana tureckiego. W latach 1891-92, we Lwowie, jego nauczycielem fortepianu był Ludwik Marek. Od 1892 przez cztery lata (w miesiącach letnich) studiował grę na fortepianie u Karola Mikulego we Lwowie.

W tym samym czasie uczył się kompozycji oraz instrumentacji pod kierunkiem Henryka Jareckiego. Odbył także studia z zakresu muzykologii i filozofii na Uniwersytecie w Paryżu. Równocześnie koncertował w całej Europie. W wieku 12 lat (w 1897 dał w Berlinie 1000. występ) jego repertuar obejmował utwory m.in. Johanna Sebastiana Bacha, Ludwiga van Beethovena, Ferencza Liszta, Antona Rubinsteina, Ignacego Jana Paderewskiego, Piotra Czajkowskiego, Benjaminia Godarda, Georga Friedricha Haendla, Johanna Nepomuka Hummela, Felixa Mendelssohna-Bartholdy, Wolfganga Amadeusa Mozarta, Maurycego Moszkowskiego, Roberta Schumanna, Franza Schuberta, Camille'a Saint-Saënsa, Carla Marii von Webera, a w szczególności Chopina.

W związku z ożywioną działalnością artystyczną przebywał najczęściej za granicą, mieszkał głównie w Niemczech



(Wiesbaden, Lipsk i Berlin). Dawał setki koncertów rocznie, przede wszystkim recitali, oraz nagrywał płyty.

Lata II wojny światowej spędził w Berlinie, gdzie był represjonowany przez władze niemieckie, zabroniono mu występów publicznych oraz opuszczania miasta. Mimo to organizował koncerty domowe dla przyjaciół i uczniów. W 1945 powrócił do Polski i został profesorem klasy fortepianu w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Koncertował do śmierci, która nastąpiła przed występem artysty w poznańskiej uczelni muzycznej w wyniku zawału serca. Został pochowany na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan na Wzgórzu Świętego Wojciecha w Poznaniu.

Raul Koczalski całe swoje życie artystyczne poświęcił Fryderykowi Chopinowi. Uważał się za spadkobiercę tradycji Chopina, przekazanej mu przez Mikulego. Pozostawił po sobie kilkadziesiąt nagrań płytowych z utworami Chopina, Bacha, Mozarta, Liszta, Paderewskiego, Schumanna i swoimi własnymi, wydany na przez firmy Columbia, HMV, Muza, Odeon, Polydor, Pearl CD.

W uznaniu zasług dla rozwoju kultury polskiej został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Małgorzata Kosińska, culture.pl





CO TO JEST LICZBA PI: HISTORIA I CIEKAWOSTKI

Liczba Pi jest jednym z najbardziej tajemniczych zagadnień w matematyce. Ta nieskończona, niewymierna liczba ma długą historię i skrywa wiele ciekawostek. Mathema wyjaśnia, czym jest liczba Pi, jak się rozwijała i dlaczego 14 marca jest szczególnym dniem dla matematyków.

CZYM JEST LICZBA PI?

Liczba Pi to matematyczna stała. Jest to liczba, która określa stosunek obwodu koła do jego średnicy. Dzięki liczbie Pi można obliczyć pole koła lub objętość kuli.

Liczba Pi jest niewymierna, co oznacza, że nie można jej zapisać jako ułamka, a jej rozwinięcie dziesiętne jest nieskończone. Jednakże do precyzyjnych obliczeń matematykom wystarczy tylko kilka pierwszych miejsc po przecinku. Na przykład, fizycy mogą obliczyć objętość wszechświata z dokładnością do atomu, używając tylko 39 miejsc po przecinku liczby Pi. Wygląda to tak:

3, 1415926535 8979323846 2643383279 502884197

W 2021 roku superkomputer obliczył liczbę Pi aż do 62,8 biliona miejsc po przecinku. Jednak w praktyce taka dokładność nie ma zastosowania. W programie szkolnym liczba Pi jest zaokrąglana do 3,14.

HISTORIA LICZBY PI

Pierwsze próby obliczenia pola koła miały miejsce już w Starożytnym Babilonie. Wówczas ludzie zauważyli, że trzykrotnie zwiększony kwadrat promienia daje przybliżony wynik. W 1900 roku p.n.e. Babilończycy mieli już tabliczkę z określeniem liczby Pi jako 3,125. Samo pojęcie „liczba Pi” nie istniało wówczas, pojawiło się dopiero w XVIII wieku. Jednak już w starożytności ludzie umieli z niej korzystać.

Zrozumienie liczby Pi przyszło trochę później. Archimedes dokładnie ją określił i udowodnił, że Pi jest stosunkiem obwodu do średnicy koła. Matematycy kontynuowali jego pracę i z każdym stuleciem obliczali coraz więcej miejsc po przecinku. W 1600 roku znano już 35 miejsc po przecinku. Nawet Isaac Newton zajmował się obliczeniami liczby Pi. Pod koniec XVIII wieku dokładna liczba miejsc po przecinku osiągnęła 100.

DZIEŃ LICZBY PI

14 marca na całym świecie obchodzony jest Dzień Liczby Pi. Święto to zostało wymyślone w USA, gdzie datę zapisuje się w formacie „miesiąc.dzień”. Dlatego 14 marca zapisane jako 3.14 tworzy liczbę Pi. Obchody

często rozpoczynają się o godzinie 1:59, aby rozszerzyć liczbę Pi o kolejne trzy cyfry. Co więcej, 14 marca to również dzień urodzin Alberta Einsteina, jednego z najsłynniejszych naukowców, oraz dzień śmierci Stephena Hawkinga, innego wybitnego uczonego.

CIEKAWOSTKI O LICZBIE PI

- Ludzie rywalizują w zapamiętywaniu liczby Pi. Obecny rekord świata należy do Rajveera Meeny, który w 2015 roku odtworzył 67 890 cyfr po przecinku.
- Liczba Pi istniała już przed naszą erą, ale sam symbol π pojawił się dopiero 250 lat temu.
- Od litery π w języku greckim zaczynają się słowa „perymetr” i „koło”, dlatego została ona wybrana do oznaczania liczby Pi.
- Istnieje teoria, że w liczbie Pi można znaleźć każdy możliwy numer telefonu, numer karty bankowej czy datę urodzenia.
- W XIX wieku w USA próbowano uchwalić ustawę, która upraszczałaby liczbę Pi do 3,2, aby ułatwić obliczenia. Jednak społeczność naukowa sprzeciwiła się temu, więc ustawa została odrzucona.

Galeria



Fot. Alicja Kłoczek

Karol Olszewski

110. rocznica śmierci

W 1883 roku Karol Olszewski i Zygmunt Wróblewski (1845-1888), po raz pierwszy w świecie, przekształcili tlen, azot i tlenek węgla (uważane wówczas za gazy trwałe) w stan ciekły. Było to wielkie osiągnięcie naukowe na arenie międzynarodowej. Olszewski i Wróblewski w prowadzonych eksperymentach wykorzystali zmodyfikowany dzięki ich wiedzy i pomysłowości zestaw aparaturowy, w skład którego wchodził układ chłodzenia etylenu, parownik i prasa hydrauliczna. Sukces krakowskich uczonych zapewniło im ich własne oryginalne rozwiązanie, w którym środkiem chłodzącym był wrzący w próżni etylen. 4 kwietnia 1883 r. uczeni skroplili tlen (-183°C), 13 kwietnia - azot ($-195,8^{\circ}\text{C}$), a 19 kwietnia - tlenek węgla ($-191,5^{\circ}\text{C}$). Osiągnięcie uczonych odbiło się szerokim echem wśród badaczy na całym świecie. Zestaw przyrządów umożliwiający uzyskanie tak niskich temperatur powstał dzięki genialnym pomysłom i zdolnościom technicznym prof. Olszewskiego.

W połowie XIX w. w dziedzinie badań w niskich temperaturach uczeni borykali się z problemem skroplenia niektórych gazów. Antoine Lavoisier (1743-1794) wysunął hipotezę (1789 r.), że każdy gaz można przekształcić w stan płynny. Michael Faraday (1791-1867), zajmujący się przez wiele lat skraplaniem gazów, większość znanych wówczas gazów przeprowadził w stan płynny, ale nie udało mu się uzyskać ciekłego tlenu, azotu, wodoru, tlenku węgla, tlenku azotu i metanu. Prace innych uczonych (Natterera ~1845 r., Berthelota ~1850 r., Andrewsa ~1861 r.) nie przyniosły również pozytywnych rezultatów, wobec czego sądzono, iż gazy te są trwałe (doskonałe) i nie uda się ich skroplić przy użyciu bardzo wysokich ciśnień (500 do 3600 atm.) i równoczesnym oziębianiu (do -110°C). Nie szczędzono jednak wysiłków, by wymusić przemianę tych gazów w stan ciekły.

W europejskich laboratoriach podejmowano wiele prób i w 1877 r. Raoul Pierre Pictet w Genewie, oraz Louis Paul Cailletet w Paryżu doprowadzili do pojawienia się mgły skroplonego tlenu – czyli doprowadzili do skroplenia w stanie dynamicznym, ale nie udało im się uzyskać ciekłego tlenu w stanie statycznym.

W lutym 1883 r., w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, fizyk, prof. Zygmunt Wróblewski podjął naukową współpracę z chemikiem prof. Karolem Olsze-



wskim. W jej ramach prowadzono eksperymenty, których celem było skroplenie tlenu, azotu i tlenku węgla, co już niespełna po dwóch miesiącach współpracy zakończono sukcesem. Dzięki dokładnej analizie doświadczeń związanych ze skraplaniem gazów jakie inni uczeni (Faraday, Pictet i Cailletet) przeprowadzili wcześniej i twórczej syntezie uzyskanych rezultatów Olszewski i Wróblewski zastosowali w prowadzonych eksperymentach własne rozwiązania, które w skromnych warunkach krakowskiego laboratorium doprowadziły do uzyskania wyników jakich przez lata nie udało się osiągnąć innym uczonym w bogato wyposażonych pracowniach. W eksperymencie zastosowano przyrząd Cailleteta, a środkiem chłodzącym był, jak już wspomniano, wrzący w próżni etylen.

Współpraca krakowskich profesorów trwała tylko kilka miesięcy. Potem, obaj zajmowali się badaniami w niskich temperaturach, ale każdy prowadził je we własnym laboratorium.

Karol Stanisław Olszewski urodził się 29 stycznia 1846 roku we wsi Broniszów koło Ropczyc. Naukę w gimnazjum rozpoczął w Nowym Sączu, lecz po wybuchu powstania styczniowego porzucił szkołę i udał się do Krakowa, by przyłączyć do oddziałów powstańczych. W trakcie szkolenia wojskowego został aresztowany i osadzony w więzieniu. Po uwolnieniu kontynuował naukę w gimnazjum w Tarnowie, a w roku 1866 rozpoczął studia chemiczne

na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był uczniem prof. Czzyrniańskiego i prof. Karlińskiego. Na wykłady fizyki uczęszczał do prof. Kuczyńskiego. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim kształcił się w Heidelbergu. Pracę doktorską wykonał pod kierunkiem Bunsena. W 1876 roku został profesorem w Katedrze Chemii UJ. Wspólnie z Zygmuntem Wróblewskim w 1883 roku skroplił tlen, azot i tlenek węgla. W roku 1884 prof. Karol Olszewski, już samodzielnie, wyznaczył punkt inwersji i parametry krytyczne wodoru, a w 1895, na prośbę odkrywcy argonu i helu W. Ramsaya, skroplił i zestalił argon. Rok później próbował również skroplić hel. Choć mu się to nie udało, w 1896 roku skonstruował jeden z pierwszych na świecie termometrów helowych.

W 1891 roku prof. Olszewski otrzymał nominację na profesora zwyczajnego i objął stałe kierownictwo I Zakładu Chemicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Interesował się nowymi odkryciami nie tylko w dziedzinie badań w niskich temperaturach. Zajmował się również chemią analityczną, a w szczególności analizą wód mineralnych, wód studziennych i rzecznych miasta Krakowa i okolic. Kontynuował też zainteresowania chemią sądową.

Gdy informacje o odkryciu przez Roentgena w końcu 1895 roku nowych promieni rozbudzały wyobraźnię i zainteresowanie nie tylko uczonych, problematyka ta zaciekała również prof. Olszewskiego. Niemalże natychmiast po odkryciu promieni X wspólnie ze swoimi asystentami Tadeuszem Estreicherem i Edwardem Drozdowskim zbudował w Krakowie prosty przyrząd do wytwarzania tych promieni. W okresie 8-15 stycznia 1896 roku, czyli w bardzo krótkim czasie po opublikowaniu przez Roentgena pracy pt. *Über eine neue Art von Strahlen* (O nowym rodzaju promieni), krakowscy uczeni otrzymali promienie X i wykonali pierwsze zdjęcie rentgenowskie. Była to fotografia mosiężnego przycisku do papieru w kształcie jaszczurki. Wkrótce, promienie X (zwane obecnie promieniami rentgenowskimi) zastosowano również do celów medycznych. Prace te, wykonane w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim przez prof. Olszewskiego i dr. Estreichera wspólnie z profesorem medycyny Alfredem Obalińskim, uważane są za początki polskiej radiologii.

Prof. Karol Olszewski zajmował się również, z dużym powodzeniem, konstrukcją aparatów do skraplania gazów. Skraplarki te były produkowane przez mechaników z Uniwersytetu Jagiellońskiego i kupowane przez uczonych pracujących w laboratoriach wielu zagranicznych uniwersytetów. Na przełomie XIX i XX wieku prof. Olszewski był niekwestionowanym światowym autorytetem w dziedzinie badań w niskich temperaturach. Utrzymywał naukowe kontakty z W. Ramsayem (Na-



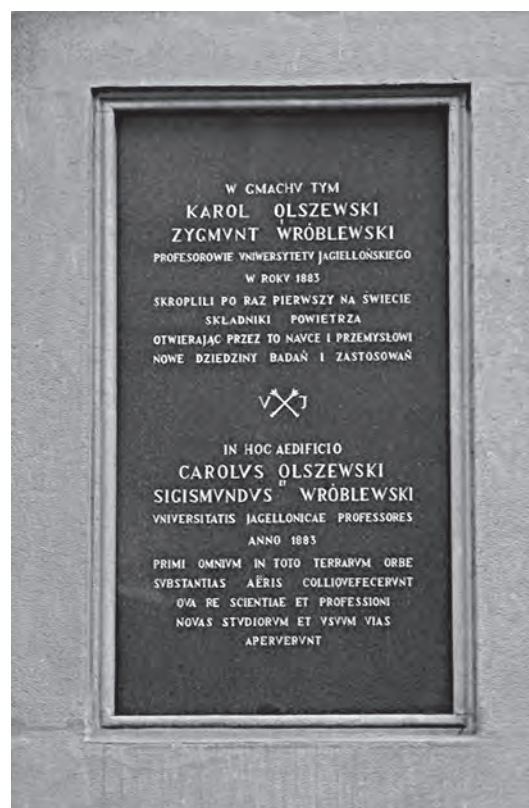
groda Nobla z chemii w 1904 roku), H. Kamerlingh-Onnesem (Nagroda Nobla z fizyki w 1913 roku), F. Haberem (Nagroda Nobla z chemii w 1918 roku), J.H. van't Hoffem (Nagroda Nobla z chemii w 1901 roku), W. Ostwaldem (Nagroda Nobla z chemii w 1909 roku), Lordem Rayleighem (Nagroda Nobla z fizyki w 1904 roku) i W. Roentgenem (Nagroda Nobla z fizyki w 1901 roku), Marią Skłodowską-Curie (Nagrody Nobla z fizyki 1903 i chemii 1911). Prof. Karol Olszewski kilkakrotnie był również nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki lub chemii. Nagrody tej nie otrzymał, lecz H. Kamerlingh Onnes w mowie wygłoszonej w Sztokholmie podkreślił zasadnicze znaczenie prac Olszewskiego dla rozwoju kriogeniki.

Profesor Karol Olszewski żywo interesował się również sprawami młodzieży akademickiej. To z jego inicjatywy powstało w Krakowie w 1904 r. Koło Chemików Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a on został jego pierwszym kuratorem. W 1908 roku studenci nadali mu godność członka honorowego Koła. Organizacja ta istnieje i aktywnie działa na Wydziale Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego również obecnie.

Od 1888 roku prof. Olszewski był członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, od 1896 r. członkiem czynnym, a od 1906 roku przewodniczącym III Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii. Był też członkiem honorowym wielu zagranicznych towarzystw naukowych. Został odznaczony orderem Żelaznej Korony III klasy, tytułem radcy dworu, nagrodą im. ks. Lubomirskich przyznaną przez Akademię Umiejętności i złotym medalem im. J. Śniadeckiego. W 1907 roku otrzymał godność członka honorowego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika.

Nauka bez reszty wypełniała życie prof. Olszewskiego. Nie założył rodziny, a swoje oszczędności (140 tys. koron w papierach wartościowych w 1908 r. i 45 tys. koron w 1913 r.) przekazał Akademii Umiejętności z przeznaczeniem na rozwój badań naukowych w dziedzinie niskich temperatur. Był również zaangażowany w działalność Towarzystwa Dobroczynności, a 2900 koron oraz przyrzędy do skraplania gazów przeznaczył na „pierwsze urządzenie muzeum przyrodniczego lub kryogenicznego”. Przyrzędy ten można obecnie zobaczyć w Collegium Maius Muzeum UJ.

Karol Olszewski zmarł 25 marca 1915 r. Dwa dni później odbył się jego pogrzeb. W imieniu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Umiejętności mowę pożegnalną w progach Collegium Chemicum przy ul. Jagiellońskiej 22, gdzie mieszkał i pracował, wygłosił rektor – prof. Kostanecki. W kondukcje pogrzebowym zmierzającym na Cmentarz Rakowicki podążał prezydent Krakowa dr Leo, wiceprezydenci, profesorowie uniwersytetu i mieszkańcy Krakowa. Pomimo wojennych trudności, depesze kondolencyjne napłynęły z Wiednia, Pragi, Innsbrucku, Heidelbergu, Budapesztu, Paryża, Bolonii, Rzymu, Genewy, Bazylei, Lozanny, Neapolu, Montpellier, Liverpoolu, Leeds, Manchesteru, Toronto i Kyoto. W prasie i specjalistycznych czasopismach w kraju i za granicą pojawiło się wiele wspomnień pośmiertnych. Pojawiały się one również później, najczęściej z okazji rocznic skroplenia



gazów trwałych czy też rocznic śmierci Profesora. Tadeusz Estreicher, uczeń i następca profesora Olszewskiego, tak napisał o swoim Mistrzu w dziesięciolecie jego śmierci:

Olszewski był, jak to podniósł Smoluchowski w swoim pięknym i głęboko ujętym wspomnieniu po nim, doskonałym reprezentantem typu uczonego, zwanego przez Ostwalda klasycznym: powoli ale wytrwale i metodycznie w wybranym przez siebie kierunku pracującym badaczem, który nigdy nie ogłasza nic przedwczesnego, nic niedojrzałego, i nie da się odciągnąć z drogi do wytkniętego celu przez żadne postronne zagadnienia, chociażby go nawet najbardziej zajmowały. Typ taki jest, szczególnie wśród Polaków, impulsywnych na ogół i skorych do nagłego, a niestety często niedługotrwałego entuzjazmu, rzadki. Możemy być dumni, że się wśród nas zjawiał i działalnością i sławą swoją rzucił odblask chwwały na naukę polską.

W uznaniu zasług prof. Olszewskiego dla nauki i ojczyzny, jego doczesne szczątki spoczywają obecnie w Panteonie Narodowym w podziemiach kościoła Piotra i Pawła w Krakowie.

Alicja Rafalska-Łasocha



430 lat temu otwarto Akademię Zamojską

15 marca 1595 roku w Zamościu otworzono ufundowaną przez Jana Zamoyskiego Akademię. (Hippaeum Zamoscianum) założoną w 1594 r. przez kanclerza wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego, jako wyższa szkoła humanistyczna.

W tym samym roku papież Klemens VIII zatwierdził powołanie Akademii w formie stosownej bulli, ofiarował uczelni swój herb rodowy Aldobrandinich do godła Akademii. Akademia była pierwszą prywatną uczelnią, a czwartą wyższą uczelnią w Rzeczypospolitej.

Według koncepcji jej fundatora miała być „szkołą obywatelską” (schola civilis) przygotowującą młodzież do pełnienia obowiązków w służbie Rzeczypospolitej. Z okazji uroczystego otwarcia uczelni w dniu 3 III 1595 r. Jan Zamoyski wydał „Odezwę do Polaków”. W akcie fundacyjnym z 5 VII 1600 zawarte zostały słynne już słowa: „Takie są rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie...”

Akademia wedle założeń fundatora miała być prężnym ośrodkiem kultury polskiej, kształcącym elity prawnicze. Szybko zdobyła sobie znaczny rozgłos nie tylko w Polsce, ale także w całej Europie. Dzięki niej Zamość na przełomie XVI i XVII wieku był jednym z głównych ośrodków myśli naukowej w Polsce.

Strukturę organizacyjną i szczegółowy program nauczania określił sam kanclerz w akcie fundacyjnym Akademii. Studia były dwustopniowe: stopień niższy wstępny (classes infe-

riores) i normalny wyższy (classes superiores). Językami wykładowymi była łacina i greka. Początkowo zostały utworzone 3 wydziały: filozoficzny, prawniczy i medyczny. Utworzono 7 katedr. W 1648 wprowadzono wydział teologii. Od 1637 uczelnia miała prawo nadawania stopni doktora filozofii, od 1648 – teologii.

Okres świetności Akademii przypada na lata 1595-1648. Wykładało w niej wielu wybitnych humanistów i prawników, m.in.: Jan Niedźwiecki-Ursinus (medyk, twórca podręcznika gramatyki łacińskiej), Melchior Stephanides (pierwszy rektor; logika, metafizyka, prawo), Adam Burski (filozof), Tomasz Drezner (prawnik), Maciej Jaworowski (prawo, filozofia).

Od II połowy XVII w. rozpoczął się stopniowy upadek Akademii Zamojskiej. W 1772 r. Zamość został włączony do zaboru austriackiego, zaś 1784 r. rząd austriacki zamknął uczelnię.

W Archiwum Państwowym w Lublinie przechowywane są akta dotyczące działalności Akademii Zamojskiej. Zachowały się m.in. druk mowy Jana Zamoyskiego na otwarcie Akademii, dokument zawierający wyciąg wszystkich konstytucji nadanych dla Akademii Zamojskiej z 13 IX 1782 r. oraz wyciąg praw i przywilejów nadanych dla Akademii Zamojskiej przez Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza oraz Michała Kory-

buta Wiśniowieckiego, podwójnie uwierzytelniony pieczęcią papierowo-woskową Akademii Zamojskiej oraz podpisem rektora Akademii Bazylego Rudomicza.

EDUKACJA W POLSCE W XVI I XVII WIEKU

W XVI i XVII wieku, w czasach, kiedy żyli i działali Sobiescy – Marek, Jakub i Jan, poziom oświaty w Polsce nie odbiegał od poziomu europejskiego. W Rzeczypospolitej istniały szkoły parafialne, średnie i wyższe. Potrydenckie postulaty kulturowe, uwzględnione w programach nauczania, nakazywały uczyć w sposób nowoczesny, a jednocześnie zgodny z wiarą i moralnością katolicką. W tym czasie nastąpił rozwój sieci szkół, co spowodowało szerszy dostęp warstw plebejskich do oświaty. Młodzież pochodzenia szlacheckiego stanowiła znaczący procent studiujących, ale proporcje te były różne w różnych ośrodkach miejskich. Potrzebę kształcenia swoich synów odczuwali także mieszcianie, a poeta laureatus Klemens z Januszkowa jest dowodem na to, że do akademii trafiały również dzieci chłopskie. Dzięki stypendiom fundowanym przez władze miejskie lub przez bogatych patrycjuszów na przełomie XVI i XVII w. 40% studiujących w Akademii Krakowskiej stanowili mieszcianie. Inne były proporcje w gimnazjach akademickich na północy kraju: w Toruniu, Elblągu i Gdańsku kształciło się 90% dzieci mieszczańskie.

Szkoły parafialne pozostawały wtedy pod opieką rad miejskich, które troszczyły się o ich utrzymanie, dobierały programy nauczania i kadrę nauczycielską (wywodzącą się ze stanu mieszczańskiego). Szkoły te zostały zreformowane po Soborze Trydenckim, a na początku XVII w. profesorowie Akademii Krakowskiej opracowali dla nich jednolite założenia programowe.

W XVII w. obok akademii jezuickich istniały kolegia jezuickie, należące do kategorii szkół średnich. Nota bene w tych czasach, wśród szkół średnich Rzeczypospolitej, najwięcej było jezuickich, zapewniających dość wysoki poziom nauczania. Istniały także inne szkoły średnie: Szkoła Nowodworskiego w Krakowie, Szkoła Chełmińska oraz szkoły różnowiercze w Rakowie, Lesznie, Elblągu, Gdańsku i Toruniu. Program Szkoły Nowodworskiego i Szkoły Chełmińskiej opracowali profesorowie Akademii Krakowskiej.

Rozwój szkolnictwa był jednym z najważniejszych ideowych postulatów jezuitów, którzy nie wprowadzili radykalnych zmian do już sprawdzonych programów nauczania. Zapoznali się także z metodami stosowanymi w szkołach protestanckich. Szkolnictwo jezuickie zaczęło rozwijać się w Europie w połowie XVI w. W drugiej połowie XVIII w. w Rzeczypospolitej istniały dwie akademie i pięćdziesiąt sześć kolegiów. Program nauczania w kolegiach jezuickich wypełniały nauki humanistyczne. Nauka łaciny stała się rodzajem ćwiczenia duchowego. Jezuita byli z reguły doskonałymi mówcami, stąd ważnym elementem kształcenia była retoryka, która miała uczyć myślenia, wnioskowania i argumentowania. Zajęcia prowadzono wyłącznie po łacinie. Naukę zaczynało od podstaw gramatyki tego języka, a stopień jej



Hetman Jan Zamoyski, portret Jana Szwankowskiego

znajomości był wyznacznikiem podziału na klasy. Po opanowaniu gramatyki uczeń trafiał do klasy poezji, gdzie zdobywał wiedzę z zakresu poetyki i retoryki starożytnej. Następnie przechodził do klasy retoryki, w której programie uwzględniono lekturę rzymskich mów i traktatów o retoryce.

W XVII w. akademie dysydenckie w Rakowie, Lesznie, Elblągu, Toruniu i Gdańsku w niektórych dziedzinach kształciły na poziomie uniwersyteckim. Szkoła arian w Rakowie działała do 1638 r., a szkoła braci czeskich w Lesznie do 1656 r. Środowisko arian z uwagą śledziło przemiany umysłowe zachodzące na terenie Europy Zachodniej i nawiązywało kontakty z ich inicjatorami. Wielu profesorów niemieckich obejmowało stanowiska wykładowców na luteranśkich akademiach Prus Królewskich. W akademiach dysydenckich, podobnie jak w szkołach katolickich, językiem wykładowym pozostawała łacina. Do nauki języków nowożytnych nie przywiązywano tu wielkiej wagi. Synowie szlacheccy kształcili się przede wszystkim w Rakowie, podczas gdy synowie mieszczańscy – w szkołach Prus Królewskich. Rektorem akademii w Rakowie był Jan Amos Komeński, który w szkolnej praktyce stosował część swoich koncepcji. Akademia ta, założona w 1602 r., wyrokiem królewskim zamknięta w 1638 r., dysponowała znakomitą kadrą profesorską i przyciągała studentów i wykładowców z całej Europy.

W programie szkół arianських wiele miejsca poświęcono etyce, a zwłaszcza obowiązkowi obywatela wobec państwa i społeczeństwa. Ze współczesnych osiągnięć przenikały tu głównie nauki ścisłe. Wielkie było o zainteresowanie matematyką, geografią, fizyką i astronomią. Niezmiernie ciekawy jest choćby odmienny stosunek braci polskich i protestantów do idei systemu heliocentrycznego. Arianie propagowali ją z wielkim zaangażowaniem, gdy tymczasem protestanci długo byli niechętni temu odkryciu. Przedmiotów humanistycznych, tj. filologii, prawa i historii nauczano w sposób tradycyjny, z tym tylko, że siedemnastowieczna historiografia różnowiercza nosiła charakter wyznaniowy. Różnowiercy pozostawiali także raczej obojętni na wpływy nowej filozofii, reprezentowanej przez Kartezjusza, Locke'a, Bacona i Spinozę.

Istniały także szkoły prywatne, jak np. te założone w miastach Prus Królewskich, w których szczególny nacisk kładziono na naukę języków obcych, ponieważ miały one przygotowywać do zawodu kupieckiego.

Na początku XVI wieku w Poznaniu powstała Akademia Lubrańskiego, nowy typ szkoły humanistycznej, wzorowana na Gymnasium Palatinum w włoskiej Mantui. Był o to pozbawione prawa nadawania stopni naukowych gimnazjum akademickie. W okresie swojej świetności, w latach 1530 – 1550, Akademia gościła profesorów z uniwersytetu krakowskiego. Kolegium Lubrańskiego ukończył Klemens Januszkowski. Na wysokim poziomie uczono tu zwłaszcza języków klasycznych.

Pod koniec XVI w. powstała Akademia Zamoyska, która w pierwszych latach istnienia była znana w całej Europie Środkowej. Założyła ją jako szkoła średnia, w 1594 r. została przekształcona w uniwersytet, trzeci w Rzeczypospolitej po uczelni w Krakowie i Wilnie, przemianowanej w 1579 r. przez Stefana Batorego ze szkoły jezuickiej na akademię. Kierownikiem szkoły średniej był znakomity poeta Sebastian Klonowic, wspierany przez innego sławnego poetę, Szymona Szymonowica. Zamoyski, wychowanek uniwersytetów Zachodu, chętnie otaczał się ludźmi, którzy władali piórem, a nie orężem: literatami, historykami, filologami i prawnikami. Swoją Akademię założył z wielkim rozmachem. Jej otwarcie zostało poprzedzone analizą programów nauczania w wielu innych szkołach: włoskich, niemieckich i francuskich (innowierczych i jezuickich). Nauka trwała zwykle dziesięć lat. Do akademii przyjmowano chłopców w wieku sześciu, siedmiu lat. Co pół roku uczniowie przystępowali do egzaminów, które pozwalały na szybsze rozpoczynanie kolejnych kursów.

W XVII wieku w Rzeczypospolitej działały trzy szkoły wyższe: Akademia Krakowska, Wileńska i Zamoyska. Ich poziom stopniowo się obniżał. Profesorowie Akademii Krakowskiej, którą z jednej strony próbowali

sobie podporządkować jezuici, a z drugiej strony władze kościelne dążyły do ograniczenia jej samorządności, tracili wiele sił i energii na obronę swojej autonomii.

W XVI w. wielu młodych ludzi, zarówno pochodzenia szlacheckiego, jak i mieszczańskiego wyjechało na studia zagraniczne. Dotychczas wybierali oni przede wszystkim uniwersytety włoskie i francuskie, ale w drugiej połowie wieku chętniej decydowali się na uczelnie niemieckie, zwłaszcza te, które opanował a kontrreformacja. Wychowankowie szkół jezuickich zachęceni byli do studiów w Wiedniu, Gratzu, Ingolstadzie, Dillingen, Fryburgu lub Moguncji. Wracali do Rzeczypospolitej ukształtowani inaczej niż Polacy, którzy niegdyś ciągnęli po wiedzę do świetnych włoskich uczelni w Padwie, Ferrarze i Bolonii. W dobie kontrreformacji prestiż uczelni włoskich wyraźnie się zmniejszył. W XVII w. młodzież szlachecka mogła ciągle jeszcze odebrać doskonałe wykształcenie w Akademii Krakowskiej w dziedzinach takich jak matematyka. Jednak zarówno młodzi arystokraci, jak i przedstawiciele innych stanów, finansowani przez bogatych protektorów, zgodnie z utrwaloną tradycją chętnie ruszali na studia do zagranicznych ośrodków uniwersyteckich: do Padwy, Rzymu, Paryża, Lowanium etc. Coraz częściej jednak zwyczaj studiowania za granicą poddawano surowej krytyce. Synowie szlacheccy mogli zdobywać wykształcenie i nabierać ogłady, towarzysząc młodym arystokratom na dworach magnackich w Rzeczypospolitej.

Podróże zagraniczne trwały zwykle od dwóch do sześciu lat. Siedemnastowieczny polski pisarz, Szymon Starowolski, odbył cztery podróże zagraniczne jako dworzanin lub mentor młodych magnatów. Pierwsza podróż trwała co najmniej dwa lata i wiodła przez Niemcy do Niderlandów; trudno powiedzieć, czy objęła także Francję i Hiszpanię. Starowolski odbył ją jako członek orszaku Konstantego i Janusza Ostrogskich, zatem jego obowiązki ograniczały się do wszelkiego rodzaju posług. Z pewnością sam Starowolski wiele się w jej trakcie nauczył. Drugą, trzecią i czwartą podróż odbył już jako wychowawca młodych Sapiehów, Potockich i Koniecpolskich. W czasie drugiej przebywał w sławnych włoskich miastach: Padwie, Wenecji i Rzymie. Trzecia zawiodła go m.in. do Lowanium, Antwerpii i Kolonii. Nieznana jest trasa czwartej podróży Starowolskiego. Z tego zestawienia peregrynacji wynika, że synowie magnaccy udawali się w podróż po Europie, aby zdobyć światową ogładę i przynajmniej otrzeć się o sławne ośrodki naukowe. Podróże te służyły poznaniu takich krajów jak: Niemcy, Francja, Hiszpania, Włochy, Niderlandy i Anglia. W ich trakcie studiowano na zagranicznych uczelniach, uczono się języków obcych, analizowano problemy gospodarki i ustroju, zapoznawano się ze sztuką krajów Zachodu.

Około połowy XVII w. polscy arystokraci mieli duże możliwości i dużą swobodę w dziedzinie edukacji: mogli

kształcić się w najlepszych szkołach polskich i zagranicznych, u najlepszych prywatnych nauczycieli, mogli rozwijać wrodzone zdolności. Jednak rodzice – w trosce o splendor rodu – dbają przede wszystkim o to, aby ułatwić swoim synom dostęp do wysokich urzędów senatorskich i ministerialnych. Dobrze urodzony i majątny szlachcic miał niewiele dróg do wyboru.

Za najwłaściwszą uważano karierę polityczną. Czasami droga do niej wiodła przez wysokie funkcje wojskowe. Na ostatnim miejscu stawiano osiągnięcie godności kościelnych.

W rodzinach arystokratycznych naturalne było o staranie się o wysokie urzędy polityczne. Nie zważając na wrodzone zdolności i pasję, oddawano się polityce, a przecież bywał o tak, że upodobania skłaniały młodego magnata ku sztuce, literaturze lub pracy naukowej. Przynależność stanowa, dbałość o prestiż i przyszłość rodu, pragnienie utrzymania dominacji nad innymi grupami społeczeństwa i nad królem nie pozwalały na odd-

anie się osobistym pasjom i zainteresowaniom.

Czynną politykę uważano za zawód właściwy dla polskiego magnata: był o to zgodne z przeszłością niejednego rodu i odpowiadało jego ambicjom; był o także wyrazem przeszczepionej na polski grunt tradycji rzymskiej.

W okresie nauki ujawniało się wiele talentów i wrodzonych skłonności, jednak nauką, sztuką i literaturą zajmują się przedstawiciele innych stanów. Doskonale wykształceni arystokraci stają się co najwyżej mecenasami nauk i sztuk. Chętnie sięgają po lektury historyczne, ale samą historią się nie zajmują, notując tylko bieżące wydarzenia w sylwach lub diariuszach. Parają się literaturą polityczną i doskonałą w wymowie politycznej. Jeśli piszą, to najcenniejsze dzieła literackie przechowują w szufladzie lub publikują je anonimowo.

W tekście wykorzystano materiały Archiwum Państwowego w Lublinie oraz Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie

Polonijna Agencja Informacyjna

Kalendarium



Międzynarodowy Dzień Astrologii obchodzony jest w dniu równonocy wiosennej z 20 na 21 marca. Święto zostało ustanowione w 1993 roku przez amerykańskie stowarzyszenie Association for Astrological Networking (AFAN), które zrzesza astrologów z całego świata.

Mamy XXI wiek, a wiele osób wciąż wierzy w horoskopy. Współcześni astrologowie, którzy je układają, doskonale znają tajniki ludzkiej psychiki i sposoby manipulacji. I to wykorzystują.

Historia astrologii sięga początków historii człowieka. Astrologia jest, jak to zgrabnie ujął wybitny fizyk i noblista Richard Feynman, “trwającym od 2000 lat nonsensem”. A jednak trwa i ma się bardzo dobrze. A astrologi zarabiają więcej niż psycholodzy — podkreśla dr Beata Rajba, psycholożka z Dolnośląskiej Szkoły Wyższej.

— Naprawdę nie wiemy, kto pierwszy wpadł na pomysł powiązania zjawisk naturalnych z zachowaniem ludzi — mówi astronom Sten Odenwald, dyrektor Citizen Science w NASA Space Science Education Consortium. — Istnieją pewne przesłanki, że sztuka jaskiniowa pokazuje ideę, że zwierzęta i przedmioty mogą być nasycone jakąś formą duchową, która wywiera wpływ na człowieka, a jeśli udobruchasz tę formę duchową, będziesz miał udane polowanie. Takie myślenie zostało przejęte przez wróżbiarzy, według których można obserwować zjawiska w naturze i uważnie studiować ich wpływ na człowieka.

Pewne formy astrologii pojawiają się w wielu systemach wierzeń starożytnych kultur. W starożytnych Chinach szlachta obserwowała zaćmienia jako zapowiedzi dobrego lub złego czasu dla swojego cesarza, choć uważa się, że znaki te miały mniejszy wpływ na życie zwykłych ludzi.

W dawnych społeczeństwach, w których członkowie niższych klas mieli mniejszą kontrolę nad swoim życiem, wróżbiarstwo było dla nich bezcelowe. Sumerowie i Babilończycy, mniej więcej w połowie drugiego tysiąclecia przed naszą erą, mieli wiele praktyk związanych z wróżbiarstwem — przyglądali się np. plomom na wątrobie i wnętrznościom zwierząt, obserwowali planety i gwiazdy, które utożsamiali z bogami, a ich związki z tym działaniem można odnaleźć na tabliczce Wenus — Ammi-saduqi.

Ta tablica, datowana na pierwsze tysiąclecie p.n.e., jest jednym z najwcześniejszych elementów tzw. babilońskich wróżb planetarnych.

W Mezopotamii w końcu III tysiąclecia p.n.e. powstała astrologia jako praktyka przepowiadania przyszłości władcy i kraju na podstawie zjawisk astronomicznych



i geofizycznych. Najstarsze zapiski astrologiczne wskazują, że konstelacje gwiazd zaczęto nazywać właśnie w starożytnej Mezopotamii. Najprawdopodobniej nazwy gwiazdozbiorów wymyślili Sumerowie, choć nie jest to do końca pewne. Niektóre teorie wskazują, że jest to zasługa Akadyjczyków. W I tysiącleciu p.n.e. rozwinęła się astrologia horoskopowa oparta na założeniu, że losy człowieka są wyznaczone przez położenie planet i gwiazd w chwili jego urodzenia.

Około 500 lat p.n.e., astronomowie babilońscy podzieliли niebo na 12 równych, 30-stopniowych części. Te fragmenty utworzyły zodiak, który jest przecinany kołem zataczanym ruchem Ziemi wokół Słońca. Słowo “horoskop” powstało z połączenia dwóch greckich wyrazów — “oro” — godzina i “skopeo” — obserwować. Takie właśnie było pierwotne przeznaczenie horoskopu. Tu pojawiała się postać astrologa, który na podstawie daty i godziny urodzenia danej osoby, a także miejsca jej narodzin miał określić jej charakter, zdolności, możliwości oraz zagrożenia. Wszystkie informacje i znaki łączył z analizą symbolicznej mapy nieba.

Nowa metoda czytania przeznaczenia z gwiazd zyskała ogromną popularność to tego stopnia, że ludzie zawierali swoje życie gwiazdom i magom, nawet władcy opierali los bitew czy decyzje wagi państwowej właśnie na astrologii.

Do XVIII w. astrologowie cieszyli się szacunkiem władców — szczególnie ci, którzy przynosili pomyślne horoskopy, a sama astrologia miała status nauki. Od XVIII w. w związku z rozwojem nauki, jej pozycja zdecydowanie uległa pogorszeniu — została uznana za pseudonaukę. Ale czar astrologii trwa nadal.

Pierwsza zasada dobrego horoskopu to pochlebstwo, a wymyślane przepowiednie są oparte na ludzkiej skłonności do wiary w dobrą przyszłość. Taka postawa to powszechna skłonność, bo zwykle jesteśmy optymistami, liczymy na szczęście w życiu. Choć z drugiej strony ludzie nie są przecież naiwni. Jednak nasza świadomość odsuwa od siebie ryzyko nieszczęścia. To zachowanie wyko-

rzysują twórcy horoskopów. We wróżbie umieszczają coś negatywnego, ale mało ważnego, np.: spotka cię zawód, ale dzięki twoim staraniom wszystko dobrze się skończy. Lub: ktoś potrzebuje twojej pomocy, ale to ty musisz zrobić pierwszy krok. Podobnie: ktoś z twojej rodziny ma problemy ze zdrowiem. Może też coś w tym stylu: niedługo weźmiesz udział w spotkaniu, jak się potoczy, to zależy od ciebie.

Innym zabiegiem przy stawianiu horoskopu są bardzo ogólnikowe opisy zdarzenia, lub osoby, z którymi w nieokreślonej dokładnie przyszłości będzie się mieć do czynienia. Zdania są tak dobrane, aby pasowały do każdego. Np.: w podróży w niedługim czasie musisz uważać, może mieć miejsce niezbyt przyjemna sytuacja. Albo: niedawno ktoś przysporzył ci kłopotu, jeśli nie będziesz uważać, ta osoba znów ci może sprawić problem.

Jak wykazały badania psychologów, bardzo dużo indywidualnych cech pasuje do wielu ludzi: np. masz bliźnię na ręce, albo jakiś sekret z przeszłości i często o nim myślisz, niedawno zmagales się z pewną dolegliwością, itd.

Astrologdy wykorzystują też ludzki brak pewności siebie oraz snobizm, który w każdym trochę drzemie. Osobie z kompleksami mogą coś wmówić, a ona sama zacznie w to wierzyć. Zaś snob będzie mile polectany, gdy astrolog np. stwierdzi, że w jego otoczeniu są książki, co świadczy o inteligencji lub ma dobrze umeblowane wnętrza, co dowodzi człowieka z klasą. Okazuje się, że to działa. Według badań CBOS-u z 2018 r., 45 proc. z nas wierzy w horoskopy – większość kobiet (55 proc.), ale także spory odsetek mężczyzn (34 proc.).

Badania przeprowadzone przez Pew Research Center z 2018 r. wykazały, że aż 6 na 10 Amerykanów wierzy w astrologię czy obecność duchową. To więcej niż kiedykolwiek. Szczególnie młodsze pokolenie jest skłonne bardziej w to wierzyć niż w Boga.

Nasz mózg zaprogramowany jest tak, by nadawać sens światu łatwo i szybko poprzez znajdowanie połączeń między pewnymi rzeczami lub wydarzeniami – tłumaczył w 2015 r. w „The New York Times” profesor psychologii Thomas Gilovich. Czyli mamy niezwykłą zdolność nadawania znaczenia i znajdowania powiązań wśród nawet nieistotnych informacji. Mamy skłonność do odnajdywania własnych cech i brania do siebie elementów bardzo ogólnych opisów i charakterystyk, które właściwie mogłyby pasować do każdego. Słyszymy pozytywne informacje i od razu odnosimy je do siebie. Jeśli ktoś naprawdę potrzebu-

je potwierdzenia lub jakiejś podpowiedzi, w horoskopach bez problemu je tam dostrzeże.

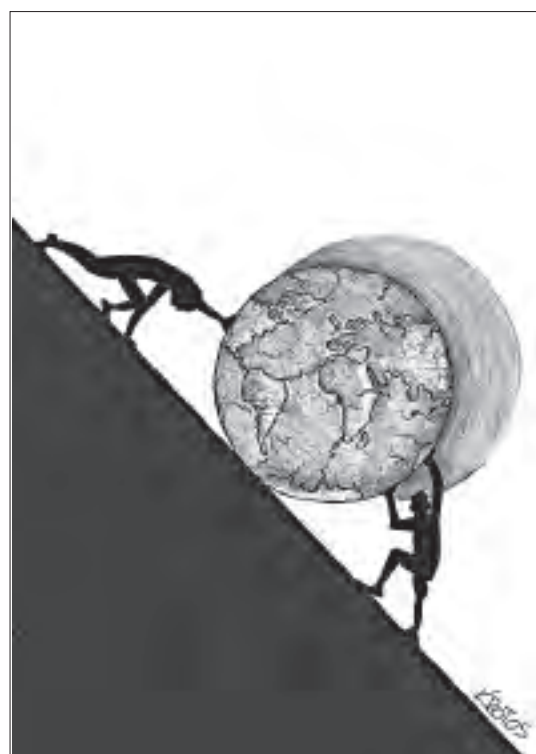
Nasze nieracjonalne zachowania nie są niczym nadzwyczajnym. Działamy w pewnych schematach, niewiele lepiej od innych ssaków, a nawet gołębi. Można nas przejrzyć, a nawet wytresować.

Jeśli przyjrzymy się dokładniej opisom znaków zodiaku, zauważymy, że są one konstruowane zgodnie z efektem Barnuma-Forera, zwanym też efektem horoskopowym.

W 1948 r. Bertram Forer, zainspirowany pokazami cyrkowca Barnuma, kazał swoim studentom wypełnić test osobowości – wyjaśnia Beata Rajba – Następnie wyrzucił kwestionariusze i przedstawił im opis ich osobowości rzekomo oparty na wynikach tego testu, a de facto złożony z fragmentów horoskopów. Studenci nie wiedzieli, że wszyscy dostali ten sam opis. Oceniali trafność tej analizy na skali od 1 do 5. Średnia ocen wyniosła 4,26! Horoskopy są pisane tak, żeby pasowały do każdego. Zawierają sformułowania zapraszające do nadinterpretacji („spotkasz kogoś nowego” albo „spotka cię przykreść”), pochlebstwa („jesteś lubiany” czy „jesteś człowiekiem inteligentnym, choć się tym nie chwalisz”), przeplatane słowami mającymi uspić czujność odbiorcy, jeśli przypadkiem przypomni on sobie zachowanie niezgodne z horoskopem (zazwyczaj, często) i komunikatami sprzecznymi („jesteś zazwyczaj romantyczna, ale potrafisz twardo stąpać po ziemi”).

Dodatkowym czynnikiem zwiększającym skuteczność horoskopu jest efekt samopotwierdzenia. A horoskop nam tę koncepcję podsuwa, stając się filtrem zdarzeń przychodzących nam na myśl i oczywiście potwierdzających wróżbę. W człowieku drzemie, a właściwie nie drzemie, tylko huczy przemożna potrzeba kontrolowania swojego życia. Jest ona tym silniejsza, im silniejszy jest lęk i poczucie bezradności. Do tego mamy większą lub mniejszą osobowościową tendencję do przeceniania swojego wpływu na rzeczywistość. Nie jest to kwestia wiedzy, a mechanizmu obronnego, jakim jest myślenie magiczne. Już Skinner, jeden z czołowych badaczy behawioryzmu, zauważył, że jest to prosty mechanizm oparty na klasycznym warunkowaniu. Nauczył on swoje gołębie być przesądnymi, dając im w przypadkowych momentach porcję ziarna. Jeśli gołąb dostawał ziarno, machał skrzydłami, uczył się, że za machanie dostaje ziarno i machał nimi, dopóty nie dostawał kolejnej porcji. Z każdą kolejną mechanizm się utrwalał. Również ludzie wierzą w przesady, bo przypadkową zbieżność czasową mylą z zależnością przyczynowo-skutkową. Wiara w astrologię już wiele mówi nam o stosowanych przez daną osobę strategiach radzenia sobie z lękiem.

Krzysztof Załuski



Do sklepu ze starociami w Jerozolimie wszedł turysta, rozejrzał się - same rupiecie bez wartości, zbiera się do wyjścia, patrzy, a tu przy drzwiach siedzi kotek i pije mleczko z miseczki. A ta miseczka - gość oczom nie wierzy - porcelana z epoki dynastii Ming!

- Wie pan co - mówi do sprzedawcy. - Ten kotek przypadł mi do serca na pierwszy rzut oka, niech mi pan go sprzeda! Dam za niego dziesięć szekli.

- Nie mam mowy! - powiada sprzedawca. - To ulubiony kotek moich wnucząt, nie jest na sprzedaż.

- Ale ja samotny jestem, a kotek - o, widzi pan - łasi się! - od razu mnie polubił. 50 szekli dam.

- Wykluczone, wnuczeta by się zapłakały.

Turysta jednak nie odpuszcił, w końcu utargował kota za tysiąc szekli.

Gość wziął kota pod pachę, zmierza do wyjścia, ale w ostatniej chwili zatrzymuje się i powiada:

- Wygląda na to, że kotek jest przywiązany do swojej miseczki. Pewnie by mu było za nią tęskno. Chciałbym ją kupić - dziesięć szekli dam.

- A nie, nie! - mówi sprzedawca. - Miseczka jest z epoki Ming i jest warta dwa miliony dolarów... A takich kotów po tysiąc szekli to ja już osiemdziesiąt sprzedałem.



- Dlaczego zamierzacie podnieść ceny benzyny? - pyta dziennikarz prezesa spółki paliwowej.

- Aby zwiększyć wynagrodzenie naszych pracowników na progu nadciągającej inflacji.

- Ale skąd wiecie o inflacji?

- Cóż, przecież benzyna podrożeje.



Proboszcz pyta parafiankę:

- Dlaczego pani nie zamówiła za zmarłego męża mszy świętej? Już nie mówię o gregorianie, ale chociaż jednej mszy?

- Po co? Niech ksiądz pomyśli logicznie. Jak jest w niebie, to mu nie trzeba, jak w piekle, to mu nie pomoże, a jeśli w czyśćcu... ja go dobrze znam... wytrzyma.

W sklepie zoologicznym:

- Poproszę tę czerwoną papugę.

- Jest pan Francuzem, tak?

- Tak, ale co to ma do rzeczy?

- W takim razie radzę panu kupić również żółtą.

- Dlaczego?

- Ta czerwona mówi tylko po angielsku. Za to ta żółta tłumaczy na francuski.

Mama do Jasia:

- Wiesz, ta dziewczyna, którą przyprowadziłeś, jest bardzo ładna i miła, ale wysyłając cię po osiemnastkę, miałam na myśli śmietanę.

Zmęczony wielogodzinną podróżą samochodem udałem się do kawiarni. Zamówiłem kawę z podwójnym Red Bullem. Po dwustu kilometrach zorientowałem się, że zostawiłem auto na parkingu.

Motto dnia:

Nie denerwuj się, że nie masz pieniędzy. Są przecież rzeczy, których nie kupisz za żadne pieniądze. Na przykład żywe dinozaury.

Rozmawiają dwie kangurzyce:

- Chciałabyś mieć dwójkę dzieci?

- A wiesz, to nie na moją kieszeń.

Przychodzi pacjent z kijem do lekarza.

- Po co panu kij? - pyta lekarz.

- Odstrasza wilki.

- Ale tu nie ma wilków!

- Widzi pan, jak dobrze działa?

Idzie prezes dużej firmy ulicą, kiedy łapie go za rękaw żulik i mówi:

- Daj pan 20 złotych!

- A na co?

- Kupię wódki, upiję się i będę spać pod płotem.

Prezes wyciąga komórkę i dzwoni do kadrowej:

- Halo? Proszę zwolnić głównego księgowego, ja tu uczciwego człowieka znalazłem!



Pilot: Mamy mało paliwa. Pilnie prosimy o instrukcję.

Wieża: Jaka jest wasza pozycja? Nie ma was na radarze.

Pilot: Stoimy na pasie nr 2 i już całą wieczność czekamy na cysternę.

